



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TRESĆ:** *Polityka:* Cywilizowanie Afryki. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Romans w dunach, przez Holgera Drachmanna (dokończenie). — *Sprawy ekonomiczne:* Wszechameryka i wszecheuropa, p. K. R. Żywickiego. — *Życie społeczne:* Szkolnictwo ludowe w Galicji, p. Beta. — Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Jan Orth, p. S. — *Badania naukowe:* Psychologia, p. Władysława Kozłowskiego. — Zagadki języka, p. L. — W przedmiocie leczenia suchot, p. O. Bujwiłda. — *Literatura i sztuka:* Wychodźstwo i jego literatura, p. Uhma. — Teatr, p. Zenona Pietkiewicza. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Ogłoszenia.

Oprócz **Psychologii dziecka** i **Encyklopedyi dla dzieci**, które to książki wkrótce wyjdą, na początku roku przyszłego do wydawnictw naszych, bądź w dodatku, bądź osobno, wejdą: K. Letourneau **Rozwój moralności** i J. Brandesa **Młode Niemcy** (VI tom „Głównych prądów literatury“ XIX w.).

### POLITYKA.

#### CYWILIZOWANIE AFRYKI.

O wszelkich wyprawach, misjach cywilizacyjnych i pionierach kultury europejskiej wśród ludów barbarzyńskich i dzikich nie mieliśmy żadnych złudzeń, z po za szlachetnych bowiem pozorów zawsze wyglądał interes, grabież i samolubstwo. To też jakkolwiek nie odmawialiśmy podróżom Stanleya po Afryce wartości naukowej, wykazywaliśmy, że głównym ich celem było zdobycie rynków handlowych i bogactw niewyzyskanych. Wiele faktów popierało nasz pogląd, który teraz w klótni cywilizatorów znalazł zupełne potwierdzenie. Klótnia ta jest bardzo pouczająca.

Przedewszystkiem krótki do niej komentarz. Jak czytelnicy przypominają sobie, Stanley wyruszył powtórnie w głąb Afryki dla wyswobodzenia Emina paszy, który po upadku Gordona utknął w jednej z prowincyj, osaczony zewsząd nieprzyjaciołmi. Podejrzana wydawała się ofiarność milionerów angielsko-szkockich, którzy na ten ratunek dali pieniędzy, ale ostatecznie wzniosły tytuł przy wyprawie pozostał. Po długim i niszczącym pochodzie Stanley odnalazł Emina, ale zadowolonego i opierającego się wszelkim namowom „zbawcy.“ Nareszcie pasza uległ i wrócił do Zanzibaru. Od tej chwili wszakże między dwoma podróżnikami wynikły niesnaski, a z nich

wydobyła się wieść, że Stanley nie myślał „ocalać“ Emina, lecz tylko posiąść jego zapasy kości słoniowej, że go uprowadził gwałtem, że cała jego wyprawa poświęcona była celom spekulacji itd. Oskarżony pośrednio odpowiedział na zarzuty opisem swojej podróży w obszernem dziele. Wieść przycichła, Emin wrócił do dawnej siedziby, a Stanley zaczął po trudach odpoczywać w objęciach świeżo poślubionej żony. Nagle sypnęły się nowe przeciw niemu oskarżenia. Zwłaszcza brat zabitego przez murzynów majora Barttelota (któremu Stanley powierzył główny nadzór nad oddziałem pozostawionym w czasie pochodu) zwałił na niego odpowiedzialność za ten wypadek i dołączył szereg ciężkich obwinień. Przeczytawszy te zarzuty, wybawca Emina buchnął gniewem i przesłał *Timesowi* telegrafem sześciostopową odpowiedź, w której tłumaczy przyczynę śmierci Barttelota, a zarazem kresli naturalistyczny obraz cywilizowania Afryki. Obraz to przerażający — skopiujemy go w szkicu. Jednego dziesięcioletniego chłopca — opowiada Stanley — zabił Barttelot kopnięciem, drugiego zaś — 300 uderzeniami chłosty. Pewien sudańczyk, który z głodu ukradł kawałek mięsa koziego, dostał 150 razów. Skazany został na 300, ale ponieważ nie mógł wytrzymać więcej, niż 150, więc przerwano karę z obietnicą dopełnienia jej później. Uciekł, ale schwytano go i rozstrzelano. Dwaj żołnierze, z których każdy dostał po 300 uderzeń, mieli na plecach rany 4 do 6 cali długie i cał głębokie; obaj umarli. Śród zanzibareczyków nie było prawie ani jednego, któryby uniknął chłosty, a ponieważ brakło środków lekarskich, więc skatowani umierali. W protokołach dziennych, podpisanych przez wszystkich oficerów, jest ciągle mowa o takich znęcaniach się. Od Tipu-Tipa kupił Barttelot 4 niewolników (za 48 f. szt.), których trzymał w kajdanach. Pewnego dnia rano usłyszał on śpiewy i bębnienie, a gdy wysłani żołnierze nie uciszyli hałasu, wyszedł sam z kijem i rewolwerem. Jedna kobieta śpie-

wała, a kilku mężczyzn bębniło, gdyż jest zwyczajem u manyemów w ten sposób witać wschód słońca. Barttelot kazał kobiecie zamilknąć, a gdy nie usłuchała, powalił ją na ziemię i bić zaczął. Wtedy jej mąż, zobaczywszy to z pobliskiej chaty, strzelił do majora i zabił go.

Podobnych potworności dopuszczał się drugi cywilizator, Jameson. W rozmowie z Tipu-Tipem wyraził wątpliwość co do istnienia ludożerstwa. Zapłać za niewolnika — odrzekł mu handlarz — a zobaczysz. Jameson dał 12 bawełnianych chustek za 10—12 letnią dziewczynę i oddał ją kannibalom, mówiąc: „Zobaczmy, co z nią zrobią.“ Związali ją, jeden z oprawców wbił jej nóż w serce, a podczas gdy ofiara targała się w krwi, Jameson rysował spokojnie pojedyncze sceny tego morderstwa. O wypadku tym doniesiono władzom państwa Kongo, które rozpoczęły śledztwo. Te zdjęte z natury szkice artysta pokazywał ciekawym w Europie.

Swą dziką opowieść Stanley kończy zapewnieniem, że fakty te gotów poprzeć dowodami i świadkami.

Oto jak europejczycy cywilizują Afrykę. W skórach badaczy i dobroczyńców noszą oni do niej okrucieństwo i dzikie instynkty, które tam oswobodzone z kagańców rzucają się i rozszarpują niewinne ofiary. Od czasów Kolumba i Pizarra zdobywcy nowych światów pomnożyli tylko pozory, włożyli grubsze maski, ale w srogości nie zmienili się wcale. Widzimy te same sceny, co przed 400 laty, tę samą zacieklność i znęcanie się, te same Kainowe znamiona krwi na czołach wieńcami sławy ozdobionych. Wyjaśnienia Stanleya są niezmiernie cenne dla charakterystyki naszych czasów, naszej kultury i tej naszej Europy, która z wyżyn swojego uobyczajenia tak dumnie spogląda na barbarzyńców.



## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej sprawiły Europie w ciągu paru tygodni dwie wielkie niespodzianki: wypowiedziały jej wojnę celną bitem Mac Kinleya i posłały gałązkę oliwną rezultatem wyborów do kongresu. W wyborach tych bowiem odnieśli niebawem tryumf demokraci, przeciwnicy protekcyjizmu, cała zaś drużyna Mac Kinleya wraz ze swym wodzem uległa sromotnej porażce. Obecny kongres gospodarować może jeszcze przez rok, bill taryfowy zachowa moc obowiązującą przez dwa lata, ale potem runie mur ochronny pod ciosami zwycięzców i dla Europy otworzy się zapewne znowu rynek amerykański. To też na wiadomość o niespodziewanym zwrocie odzyskała ona otuchę i powstrzymała robotę około swoich szanów. Przemysłowcy, którzy już zamknęli fabryki, rozmyślają, czyby ich nie otworzyć i nie przeczekać do nowego okresu, państwa zaś, które zaczęły łączyć się związkami celnymi w celach obrony, zwolniły przebieg swych układów. Zwłaszcza Niemcy mniej napierają o sojusz ekonomiczny na Austrię, która też po zwycięstwie demokratów Unii amerykańskiej głęboko odetchnęła. Ale sama idea zrzeszenia się celnego Europy przeciw Ameryce nie zamrze, znowu bowiem kiedyś może ona będzie potrzebowała przyswiecać walce starego świata z nowym.

Przysłowiowy kłamca i krzywoprzysięca, sędownie za te przewinienia napiętnowany, słynny podlegacz nienawisci do żydów, kanzodzieja nadworny Stöcker, musiał ustąpić ze swego urzędu. Nie za swe przekonania, które wolno mu było głosić, jeśli je szczerze wyznawał, ale za swój charakter, poplamiony wykroczeniami przeciw prawu i moralności, był on znienawidzony przez wszystkie żywioły społeczne i stronnictwa, z wyjątkiem skamieniałego w swej ortodoksji i przesadach rasowych konserwatyzmu. Razila też naród opieka i protekcja monarsza dla takiej osobistości, tem bardziej, że Stöcker znaczną część swego wpływu na rozpalanie namiętności zawdzięczał stanowisku kanzodziei dworskiego. Cesarz Wilhelm, który widocznie postanowił oczyścić Augiaszową stajnię, wymiotł wreszcie i tego awanturnika. Okazał on mu wyraźny dowód nieufności i lekceważenia, że Stöckerowi nie pozostało już nic innego, jak tylko „wyciągnąć konsekwencję“.

I usunął się — z zamiarem „gorliwszego poświęcenia sił swoich agitacji chrześcijańsko-socjalnej.“ Nie wątpimy, że ten kruk rozpostrze teraz skrzydła szerzej i swobodniej, ale wątpimy, czy pozbawiony lotek urzędowych, zdoła wznieść się do tej wysokości, na której dotąd bujał.

Niecierpliwie oczekiwana mowa, którą król pruski otworzył sejm, zawiodła przypuszczenia: zaznaczyła bowiem tylko potrzebę reformy podatków i szkolnictwa, oraz wiarę w trwałość pokoju.

Stwierdził tę wiarę przedtem lord Salisbury w zakresie roku. Co później nastąpi — niech się o to bogowie troszczą.

Szlachetny lord ulitował się nad kłopotami rządu portugalskiego i zawarł z nim na sześć miesięcy układ tymczasowy, pozostawiający stosunki posiadłości afrykańskich w dotychczasowym położeniu. Gdy upłynie czas tego zawieszenia broni, ma być zawarty nowy kontrakt, w którym naturalnie Anglia zatrzyma wszystko, co współzawodnicze wydarła. Chodzi bowiem tylko o to, ażeby w Portugalii wzburzona ludność uspokoiła się i oswoiła ze stratą, a rząd utrwał swoją podstawę.

Jego Cesarska Wysokość ruski następca tronu, odwiedzwszy dwór wiedeński, gdzie doznał uroczystego i serdecznego przyjęcia, wyjechał do Grecji, a stamtąd uda się na Wschód w dalszą podróż. Gazety ruskie sądzą, że podróż do Austrii będzie miała dodatni wpływ na stosunek obu państw sąsiednich.

Coraz pewniejszą staje się wiadomość, że rząd ruski zaciągnie u bankierów francusko-niemieckich 100-milionową pożyczkę na konwersję obligacji kolejowych.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### WSZECHAMERYKA I WSZECHEUROPA.

Bill Mac Kinleya jest bezwarunkowo najważniejszym wydarzeniem ostatnich czasów, chociaż z pierwszego rzutu oka wydawałoby się, że jedynie doprowadza on do ostatecznej krańcowości odgródzenie celne Stanów Zjednoczonych od napływu towarów europejskich — nie nadto. Lecz jeśli postawimy go w należytem oświeceniu, zobaczymy, że znaczenie jego jest daleko większe. Przedewszystkiem warto wspomnieć o wniosku Turnera w kongresie, aby

ustanowiono premie wywozowe dla wytworów kukurydzy, pszenicy i mąki, naturalnie o ile te produkty idą do Europy, od której zamurowano się właśnie z taką siłą za pośrednictwem billu Mac Kinleya. Atoli należałoby zwrócić jeszcze większą uwagę na niedawny zjazd wszechamerykański w Waszyngtonie, w celu „utrwalenia i udoskonalenia wzajemnych stosunków pomiędzy krajami Ameryki.“ Ciągnął się on od jesieni 1889 aż do tegorocznego maja. Wprawdzie przyjęte uchwały nie posiadają żadnej mocy obowiązującej i tylko są głosem doradczym, który podany będzie rządowi poszczególnych krajów do uznania, lecz jest to rzeczą mniejszej wagi, gdyż głównie chodzi nam nie o to, co jest, lecz co może kiedyś nastąpić. Z tego punktu widzenia, mniej uwzględnimy wnioski, które zjazd przyjął jako nadające się już dzisiaj do urzeczywistnienia, więcej zaś projekty, które tutaj wnoszono a które, chociaż przepadły, posiadały przecież dostatecznie znaczną liczbę zwolenników. Przyjrzyjmy się im.

Ustanawia się dla wszystkich trzech Ameryk (północnej, środkowej i południowej) wspólny trybunał rozjemczy ze stałym bytem w Waszyngtonie. Rozpatruje on wszelkie możliwe spory i nieporozumienia wzajemne, a zatem kwestye dyplomatyczne i celne, przewozowe i handlowe, wreszcie zajścia pograniczne; wyroki jego posiadają siłę obowiązującą, członkowie zaś są wyłącznie obywatelami. Wspólny związek celny przeciw produktom fabrycznym Europy ogarniałby wszystkie kraje Ameryki; w początkowej formie mógłby on powstać za pomocą szczególnych umów, które to umowy jednako dążyłyby do zamknięcia rynków amerykańskich kapitalistom europejskim, otwierałyby zaś je wytworom, pochodzącym z tego lub innego państwa w Nowym Świecie. Należałoby podnieść poziom środków przewozowych. Przedewszystkiem wartoby przeprowadzić na rzecz skarbu dwie linie parostatkowe, jedną — idącą od portów nadatlantycznych Związku północno-amerykańskiego do Buenos Ayresu i Rio-Janeiro, drugą — od portów kalifornijskich do odpowiednich punktów wybrzeża Spokojnego w Ameryce południowej. W dalszym ciągu wypadałoby przeprowadzić kolej żelazną, która przecięłaby wszystkie Ameryki w kierunku od północy do południa. Wniesiono ujednostajnienie na przestrzeni wszechamerykańskiej miar wagi, objętości i długości, oraz potrącono o wprowadzenie jednolitej monety. Pojedyncze sztuki na jednej stronie nosiłyby stempel

## ROMANS W DUNACH

przez

Holgera Drachmanna.

(Dokończenie).

Młodzi jedzą dużo: trzeba więc było ciężko pracować, pracowano też ciężko. Kren Normand nauczył swych synów wszystkiego, czego mógł ich nauczyć, a oni rośli i rozwijali się, każdy z jakąś indywidualną odrębnością charakteru, lecz wszyscy trzej jako odważni i dzielni marynarze.

Najstarszy, Jörgen, najwięcej może był do ojca podobny; małowówny, energiczny nie uchylał się przed niczem. Był wysoki i smukły; dwaj młodsi, Karol i Jan, byli mniejsi wzrostem, ale silniej zbudowani.

Jörgen wstąpił do marynarki i po niejakim czasie wrócił znowu do domu: z „królewską“ barwą ładnie mu było do twarzy. Podczas karnawału tańczono u jednego z gospodarzy. Kren Normand nie lubiał zabaw, najmniej ze wszystkich — taniec. Pomimo to Jörgen poszedł na wieczór.

W niedzielę wybrał się na spacer z dziewczyną od gospodarza. Na imię miała Sa-

ra. Była sierotą, dzieckiem prawie jeszcze, miała ciemne jedwabiste włosy, duże, jakby zdziwione oczy i poważnie niemi w świat patrzała. Oczy te chętnie spoczywały na twarzy młodego, rączego marynarza, pomimo że ten nie posiadał daru przypodobania się w tym stopniu, jak młodszymi jego brat. Karol z początku towarzyszył młodej parze na drodze przez duny.

Wycieczki takie powtarzały się parę niedziel z rzędu.

Pewnego dnia ojciec zatrzymał Jörgena na dole, przy czólnie i powiedział mu:

— Chodzisz na spacer z sługą z przeciwka, co?

— Tak.

— Jak jej na imię?

— Sara.

— Ładna twarzyczka! Nie masz przecie żadnych złych zamiarów?

— Cóż znowu!

— A więc?

— Jesteśmy zaręczeni.

— To głupiec! — mruknął ojciec. Wracaj do domu, ale nie na górę do gospodarza. Sam jadę!

Kren wtedy tylko samotnie na morze się udawał, kiedy był gniewny. Za pomocą kilku silnych, krótkich uderzeń wiosłem, odbił od brzegu. Morze chłodzi — stopniowo uspokajał się.

Po tej scenie Jörgen i ojciec nie już z sobą w owej sprawie nie mówili. Z wiosną najstarszy syn udał się na morze z zamiarem poszukania sobie zajęcia na jakimś okręcie.

Raz wieczorem, jesienią, Kren siedł z połowu i wracał na górę przez duny. Stał pod jednym z piaszczystych wzgórz, posłuchał, zaczął się aż pod samą górę, odchylił pęczek rosnącego tu na piaskach owsa i spojrzął na dół.

Na dole siedziała Sara, Karol stał koło niej, podając jej list. Ona list wzięła, przebiegła go okiem i na Karola wzrok podniosła.

— Może mam odejść? — zapytał.

Twierdząco kiwnęła głową. Na pożegnanie podał jej rękę i poszedł.

Ojciec skurczył się w owsie. Kiedy syn był już daleko, spuścił się na dół i stanął przed dziewczyną.

Spojrzała nań wystraszona i chciała list ukryć; on jednakże chwycił ją za rękę, silnie ściskając.

— Pewnie od Jörgena. Domyslałam się! Ale wybij sobie to z głowy!

— Nigdy!

I zaczęła płakać.

— Dużo czasu upłynie, zanim on będzie w stanie własną wyżywić się pracą i wogóle wolno mu będzie pomyśleć o rodzinnem



związku wszechamerykańskiego, na drugiej — kraju, w którym byłyby bite.

Tak się przedstawia całokształt wniosków. O ile one zostaną wcielone w życie, zależy to od woli, a raczej interesów każdego kraju. Przyjęcie niektórych — np. trybunału rozjemczego — zdaje się być pewne. Jeszcze np. projekt kolei przywdziewa już dzisiaj kształty konkretne. Uczestnicy sami zjazdu zebrali sumę pół miliona dolarów na prace przygotowawcze dokoła wytknięcia przyszłej drogi żelaznej, a stowarzyszenie akcyjne ma zabrać się do rzeczy. Jednocześnie ma być założony w Waszyngtonie bank wszechamerykański; członkowie zjazdu winni mu wyjednać w swoich krajach odpowiednią opiekę rządową. Stałe biuro, zbierające dane co do handlu, przewozu i opieki celnej w zakresie Ameryki, prawdopodobnie ukaze się też niebawem i w tem samem mieście. W ten sposób Sojusz wszechamerykański przyjmuje formy dotykalsze. Co więcej, dalszemu jego rozwojowi nie stoją na zawadzie jakieś większe przeszkody, żaden bowiem kraj nie traci na odgroźeniu się od Europy, tymczasem gdy niektóre wprost zyskują na pozbyciu się rywali ze Starego świata. Zwłaszcza Stany Zjednoczone mają silny interes w doprowadzeniu celnej Wszechameryki do skutku. Okręty europejskie, szczególnie zaś angielskie, przybywają do Ameryki południowej i środkowej naładowane wyrobami zakładów i fabryk europejskich i wracają pełne surowców, których część zostawiają w portach Stanów Zjednoczonych, nato miejsce zabierając niektóre płody rolne Związku. Sama południowa Ameryka przywozi do siebie towaru na 450 mil. dolarów, w tej liczbie ledwie 10% (bo 50 mil.) przypada Stanom Zjednoczonym, kapitalizm europejski zabiera resztę. Ta okoliczność właśnie nie daje spać spokojnie przemysłowcom północno-amerykańskim, którzy chcieliby zgarnąć te zyski. Patryotyzm wszechamerykański z hasłem „Ameryka dla amerykańców,” głównie wychodzący z New Yorków i Waszyngtonu, jest mamidłem ideologicznym, spowodowanym przez interesy materialne. Stany Zjednoczone zajęłyby wtedy miejsce usuniętej Europy i zapewniłyby sobie na długie czasy obszerny rynek, inne zaś kraje Ameryki nie nie straciłyby, bo zwycięzki rywal musiałby i im dać jakieś korzyści.

Polityka Związku północno-amerykańskiego jest dość przezroczysta. Bill Mac Kinleya i wniosek Turnera wzięte w parze uprzytomniają ją ostatecznie. Odebrać Sta-

remu Światu rynki amerykańskie i zalać go swoimi surowcami, których cenę na rynku europejskim możnaby dostatecznie zniżyć dając wzajem w wytwórcom krajowym premie wywozowe, do tego sprowadza się cała taktyka. Obie dążności są bardzo zgubne dla Europy, zwłaszcza dla jej kapitalistów fabrycznych i ziemskich. Pierwsi utracają, po dojściu wszechamerykańskiego sojuszu celnego, rynek, z którego pobierali 2½ miliarda franków, drudzy zagrożeni zostają na własnych śmieciach. Zrozumiano to od dawna w Europie i poczęto stosować odpowiednie środki. Brentano już w 1884, lecz przedewszystkiem Kaufman w 1886 przeciwstawili zamiarom amerykańskim związek celny środkowo-europejski. Kaufman wykazuje z całą mocą, że jest to jedyna broń przeciwko wylewowi surowców amerykańskich, a utrudnieniu dostępowi produktów europejskich na rynki Stanów Zjednoczonych. Związkiem sojuszu winna być umowa pomiędzy Austrią a Niemcami, jako krajami rolniczym a fabrycznym. Węgry np. dawałyby zboże, a Niemcy węgiel itd. Przymierze to, polegające na zniesieniu wszelkich możliwych ścieśnień wewnątrz a zagroźeniu wszelkiego dowozu z zewnątrz, z czasem ogarnąć mogłoby Belgię, Holandję z jej koloniami zwrotnikowymi, Szwajcaryę, Francję i Włochy, jednocząc w ten sposób najrozmaitsze klimaty z najróżnorodniejszymi produkcjami. Powstałby szczególnie organizm wymienny, odgrodzony łańcami od reszty świata, a wystarczający samemu sobie. Idea Kaufmana, która pokutuje w projektach niemiecko-austriackiego związku celnego, zmartwychwstała na wieść o zjeździe wszechamerykańskim. *Constitutionnel* pisał z tego powodu. „Przykład, który daje Ameryka, powinienby służyć za wzór postępowania Europie, gdyby rozumiała ona swój interes. Celny związek wszech-europejski sprowadziłby korzyści jak największe. Europa zdoła uniknąć przesilenia jedynie zmieniając swój system polityczny i ekonomiczny.” Wiedeński ekonomista Peez odzywa się jeszcze energiczniej. „Wszechameryka, prędzej czy później, wywoła przymierze wzajemne pomiędzy państwami europejskimi... Na okrzyk: Wszechameryka! musimy odpowiedzieć upadkiem lub podobnym hasłem: Wszech Europa!” Ostatnimi czasy ukazała się rozprawka de Leusse, stojąca na tym samym gruncie i podająca praktyczne środki rozwiązania kwestyi. Autor wskazuje niepomierny rozwój „kolonij”: Stanów Zjednoczonych, Indyi przedgangesowych, Kaplandu, Australii. Wełna au-

stralska, konserwy mięsne argentyńskie, cytryny i pomarańcze kalifornijskie itd. powoli zagarniają rynek europejski. Za lat kilka amerykańska oliwa wyruguje nicejską i prowensalską z rynków północnej Europy, jak to już dzisiaj ma miejsce z pomarańczami w Anglii, tembardziej, że przewóz z Chicago do Havru lub Hamburga kosztuje mniej, niż z Krakowa do Strasburga. Jedyny środek wyjścia dla zagrożonej Europy to wzajemna solidarność celna. Gdyby Francja z Niemcami zawarły umowę celną, to z czasem musiałaby się ona rozszerzyć i objąć Belgię, Holandję, Szwajcaryę i Austrię, a nawet Włochy i Hiszpanię; tj. mniej więcej 150 — 200 milionów głów. Związek ten ze stolicą w Frankfurcie regulowałby wzajemną wymianę towarów pomiędzy państwami związkowymi, ujednoliciłby taryfy, miary i wagi, przeprowadziłby międzynarodowe prawodawstwo fabryczne i broniłby Europę przeciw Nowemu Światu... Teraz, kiedy bill Mac Kinleya jest faktem dokonany, podobnych głosów można zliczyć więcej. Stawiają one przeciw Ameryce i w ogóle koloniom „Wszech-Europę,” lubo w gruncie rzeczy mocno obciętą. Łatwo zauważyć, że we wszystkich tych planach brak Anglii i Rosji. Jest to rzecz zrozumiała. Angielski kapitalizm jest dzisiaj wciąż najgłówniejszym wrogiem dla przemysłu lądowego i dopuszczenie go do sojuszu byłoby straceniem wszelkich korzyści związku. Z drugiej strony, niebezpieczeństwo grożące ze strony surowców indyjskich, kaplandzkich, australskich jest zbyt silne, aby miano przyjmować do związku W. Brytanię z jej koloniami. Zostaje ona przeto odepchnięta przez łańcuch europejski; z drugiej strony Wszechameryka w znacznej mierze ma ją głównie na celu i przeciw niej organizuje się. Szczególne to położenie oddawna przeczuło w Anglii i pod naciskiem tym wyłoniono projekt t. zw. „imperyalnej federacji” (*Imperial Federation*). Polega on na równouprawnieniu kolonij wielko-brytańskich z Anglią, na stworzeniu zamkniętego organizmu wymiennego, takiego, jakim winna być Wszechameryka i Wszech Europa. Wreszcie Rosja, pożądana kasek dla kapitalizmów europejskich, sama dobrowolnie odgradza się od Europy i jednocześnie ziemianie europejscy chcieliby usunąć jej zboże z swych rynków. W bogactwie płodów i różności swojej może zresztą ona znaleźć wszelkie warunki samodzielnego rozwoju ekonomicznego.

W ten sposób, mamy w zarysie kilka odrębnych i wydzielonych organizmów wy-

ognisku. A tymczasem ty się zamartwisz, zaniedbasz robotę... Nie przecież między wami nie było?..

— Nie, nie! — zapewniła, ocierając sobie oczy.

— Więc idź do domu, do roboty. Ale daj mi list!

Zmieszana list mu dała, wstała i uciekła.

Popatrzył za nią; zajrzał w list, znowu za nią popatrzył, pismo przeczytał i schował je pod tabakę. Potem poszedł do domu, zawołał Karola i surowo mierząc go okiem, rzekł:

— Jeżeli otrzymasz list od Jörgena, mnie go oddasz, a nie tej dziewczynie z przeciwka! Rozumiesz?

Około Bożego Narodzenia umarła matka braci Normand. Ostatnimi czasy ciągle chorowała i leżała w łóżku. Spodziewali się jej śmierci; w czasie słabości matki i podczas pogrzebu najmłodszy Jan najwięcej okazał uczucia.

I tak w domu został się Kren Normand z dwoma synami.

Aż tu na samym początku wiosennego porównania dnia z nocą nadeszła wiadomość, która wkrótce przez zarząd opatrunkowy i kapitana okrętu potwierdzoną została. Jörgen zginął podczas silnego huraganu na morzu Północnem. Zabiło go może silne uderzenie rei, może co innego. Taj-

mnicy nie wyjaśniono; faktem było, że Jörgen nie żył.

Cios ten spotkał Krena Normanda w sile wieku. Cios był ciężki: Kren zachwiał się, łzy spłynęły mu po szorstkiej brodzie; przesiedział całe dwa dni koło czerwonego stołu, wsiskał kostki prawej ręki w lewą dłoń i mrucał: „Łotry, łotry! Oddajcie mi mego chłopca! Co to za kapitan — co za sternik! Chłopca mego, chłopca mi oddajcie!”

Karol, który jakoś najlepiej piórem władał, pod dyktandem ojca musiał napisać długi list, który odesłano — został jednak na zawsze bez odpowiedzi.

Lato przyszło i przeszło. Kren prawie zawsze samotnie udawał się na morze. Dwaj bracia z oszczędności swych kupili sobie prom norweskiz, za pomocą którego wspólnie odbywali połów.

Pewnego dnia Kren spotkał Sarę na wybrzeżu.

Chciała uciekać — została. Tajemnicza jakaś siła przykuwała ją do miejsca, zakryła twarz rogami fartuszka i szlochała.

I on stanął. Nagle zbliżył się do niej. Głos jego drżał.

— To twoja wina! Tyś mi wzięła chłopca!

— Nie mówcie tego! — prosiła.

On groźnie podniósł rękę, jak gdyby chciał ją uderzyć. Ochryplym głosem wybełkotał wreszcie:

— Twoja wina — ladaczniczo!  
— Bicie, bicie! — szlochała. Nie zasłużyłam, ale może tak i lepiej!

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem, pomruczał, wykreślił się i poszedł.

Na Boże Narodzenie Karol oświadczył ojcu, że zaręczył się z Sarą.

Stary nie nie odpowiedział. Syn, pełen obawy, czekał. Wreszcie zapytał:

— Czy ojciec nie ma mi nic do powiedzenia?

— Przecież nie pytałeś mnie się wprzód...

— Nie śmiałem — brzmiała cicha odpowiedź.

Stary znowu pomileczał przez chwilę, wreszcie mruknął:

— Tak prędko zapomniła Jörgena?

— Mówi, że patrzając na mnie, widzi Jörgena. Zresztą ja żyję!

Stary milczał, skrobiąc nożem kawał drzewa: zrobił głębokie nacięcia.

— Możesz czynić, co ci się podoba!

— Czy wolno jej przyjść do nas?

— Nie!

Wiosna przyniosła znowu kilka nie-szczęść na morzu, nieopodal wybrzeża. Kren Normand i jego synowie mieli dużo roboty. Karol mordował się za trzech; chciał pokazać, co potrafi. Ratowali we trzech, co się dało uratować. Ciężka praca i dobry sto-



miennych: Wszechamerykę, W. Brytanię z koloniami, Związek europejski z koloniami holenderskimi, Rosyę. Każdy z nich jest dostatecznie ludny i dzięki różnaitości klimatów może wystarczyć sam mniej więcej na swoje potrzeby. Lecz czy te organizmy wciela się w życie? Nie chcemy brać na się niewdzięcznej roli proroka. Zauważymy tylko, że interesy kapitalistów z jednej, ziemian z drugiej strony nie są tak solidarne, aby oczekiwać można było zwarłego działania. Kapitaliści oddzielnych krajów zażerują się. Jakim sposobem można spodziewać się od nich łączności? Nawet w Stanach Zjednoczonych ziemianie, obawiając się odwetu Europy względem surowców swoich, występują wrogo przeciw billowi Mac Kinleya. Przypuśćmy jednak, że wzajemne te niesnaski, obracające się około zabrania jak największej części z łupu rabowanego na najmie, uśmierza się a raczej pojmy swój interes na tyle, że owe różne związki i federacye zostaną wcielone w życie. Czy fakt ten należy uważać za dodatni w rozwoju tegoczesnej cywilizacyi? Nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco. Powikłania, wynikające z istnienia rynku wszechświatowego, są dzisiaj jedną z ważniejszych przeszkód na drodze kolektywnego uspołecznienia i zrzeszenia prywatnej produkcyi i odpowiednio celowego zorganizowania pracy ludzkiej. Pojedynczy kraj nie może stać się areną takiej ewolucyi, wszechświatowy zaś organizm jest zbyt ciężki i złożony. Tymczasem powstanie wspomnianych organizmów uprościłoby sprawę, zacieśniając ją do węższego obszaru. Każdy taki ustrój mógłby odbywać wtedy ewolucyę niezależną, i wszechświatowa łączność ukazałaby się znowu na podkładzie uporządkowania produkcyi w tych pomniejszych organizmach.

K. R. Żywicki.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### SZKOLNICTWO LUDOWE W GALICJI.

Lwów, 2 listopada.

Sprawozdanie Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego z 1890 r., rozdane posłom sejmowym, otwiera ranę, jęczącą się na organizmie samorządu galicyjskiego. Szkolnictwo ludowe, któreby po-

winno służyć jako jeden z najważniejszych środków odrodzenia narodu, przynosi mu więcej szkody, niż pożytku. Wina spoczywa głównie w samej nauce. Oto w ramy planu naukowego, skopiowanego z Niemiec, wtłoczono rzeczy, których ani dziecko, ani nawet jego bakałarz nie są w stanie zrozumieć. I chłopskie, głodne lub trzęsące się od zimna, ma korzystać z tej sztucznej papki, przyprawionej cudzą ręką! Za ciężka to zbroja na wątłe ciało! Ugrzązł ciężarem przeładowany rydwan wychowania w głębokich piaskach i ruszyć go naprzód nie można. Zamiast przysposabiać uczniów do życia, zamiast wychowywać ich na gospodarzów, obywateli kraju, staje się szkoła sama w sobie celem. Powtarzamy aż do przesytu, że kraj nasz rolniczy, a przecież rolnictwo w największym zaniedbaniu. Uchwały sejmowe, zmierzające do wychowania w kierunku praktyczniejszym, rozbijają się o zgubny system pedagogii formalistycznej, która zagważdza głowy i czyni je fizycznie i umysłowo niezdolnymi. Korzyści, jakie za granicą odnoszą pracownice szkolne, roboty ręczne w ogrodzie lub warsztacie, zaprawiające młodzież do przemysłu, rolnictwa lub gospodarstwa, są powszechnie znane. U nas jednak jak gdyby nie wiadano o tem, każą wyliczać z pamięci szczyty gór niebotycznych i uprawiać na wielką skalę gimnastykę — języków. Bardziej zatrważająca jest ilość dzieci niepobierających wcale żadnej nauki. W roku szkolnym 1889/90 było według przytoczonego sprawozdania normalnie rozwiniętych w wieku od 6—12, a niepobierających żadnej nauki 157,028 chłopców i 129,312 dziewcząt, razem 349,340 dzieci; dodajmy do tego nieuczących się 2,526 dzieci ułomnych lub umysłowo niezdolnych, otrzymamy w porównaniu do ilości dzieci obowiązanych do uczęszczania na naukę codzienną przeszło 42% niepobierających żadnej. Jeszcze gorzej przedstawia się stan kształcenia dopełniającego. „Przeszło 71% dzieci w wieku od lat 12—15 nie pobiera zgoła żadnej nauki!“ Różne składają się przyczyny na to, że młodzież miejska po opuszczeniu szkół zapomina nawet czytać i pisać; dość, że z pomiędzy 5,933 naczelników gmin nie umiało czytać ani pisać 4,743, czyli przeszło 80%. Z pomiędzy 11,701 członków zwierzchności gminnych mieliśmy 10,390 analfabetów, czyli przeszło 88%, a są powiaty, gdzie liczba członków zwierzchności nieumiejących ani czytać, ani pisać, wynosi niespełna 100%! I ludzie ci powołani do służby publicznej i pełnienia obowiązków

obywatelskich mają rozstrzygać w sprawach nieraz zagmatwanych. Takie owoce wydała nasza pieczołowitość o oświatę, która leży na ustach wszystkich. Źródeł niewydajności szkoły należy szukać w stosunkach ekonomicznych kraju, ale wiele winy przypisać trzeba samej organizacyi szkolnictwa.

Jeden z moich kolegów ułożył następujący dekalog, który odmawiać musi każdy nauczyciel galicyjski: „Dziesięć przykazań danych przez pedagoga na górze „Krywań“ dla szczęścia i dobrobytu nauczycieli ludowych w Galicji“:

1) Nie będziesz miał innego Boga ani pana prócz wójta, pisarza gminnego, przewodniczącego Rady miejscowej, prezesa Rady okręgowej, nadzorca szkolnego, członków Rady szkolnej okręgowej i krajowej, wydziału Rady powiatowej, wydziału krajowego, c. k. urzędu powiatowego i c. k. Namiestnictwa. 2) Nie będziesz brał nad 300 zlr. rocznej płacy ani centa więcej, choćby zasłużenie. 3) Pamiętaj, abys dla dobra szkoły poświęcił wszystko, nawet swoje zdrowie, żonę i dzieci. 4) Czeij swych przełożonych i dobrodziejów, których ci w 1-em przykazaniu nadmienilem, jak matkę swoją, aby ci się dobrze na twej posadzie wiodło i abys żył aż do śmierci. 5) Nie będziesz zabijał głupich swych przekonań i jaknajpokorniej stał u progu drzwi swych przełożonych, wyrażał swe życzenia i prośby w formie błagalnej i ile możności całował ręce jasnie wielmożnych. 6) Nie cudzołóż, tj. nie pragnij nigdy ludzkiego pomieszkania, zmniejszenia lat służby, ani też podwyższenia płacy, ani żadnych zapomóg, zaliczek, choćbyś miał z całą rodziną z głodu umrzeć. 7) Nie będziesz kradł ani jednego dnia szkolnego, choćby tego wymagała najgwałtowniejsza potrzeba ratowania twego lub żony zdrowia. 8) Nie mów fałszywego świadectwa przeciw koledze twemu, owszem chwal, że mu błogo i dobrze w zawodzie nauczycielskim. 9) Nie pożądaj panienki bliźniego za żonę dla siebie, albowiem nie będziesz miał za co ją wyżywić. 10) Nie pożądaj ani praw obywatelskich, ani żadnej godności w społeczeństwie, a tem mniej zarobku po za godzinami szkolnymi na utrzymanie rodziny, gdyż postępowaniem takim uchybisz swej godności nauczycielskiej i sięgniesz na siebie dyscyplinarkę.

My, pionierowie idei oświecenia ciemnej masy społeczeństwa, rdzeń narodu stawięcej, zasiadając po całodziennej twardej pracy do gorzkiej uczty życia, obficie skrapianej łzami niedoli, wołamy chórem zło-

sunkowo zarobek przyczyniły się trochę do załagodzenia niezgody między ojcem a Karolem. Podczas jednej z takich wycieczek Jan dostał febrę i musiał zostać parę dni w łóżku. Sara ukradkiem przychodziła i pielęgnowała chorego; pragnęła ludzkiem tym nieba przychylić; innej ręki kobliecej, która by w potrzebie mogła się okazać pomocną, nie było. Kren Normand był oszczędny.

Wreszcie mieszkańcy dun zawiązali spółkę, która wynajęła łódkę i kupiła największy z parowców, znajdujących się na miełźnie. Byłby to świetny interes dla tych biednych ludzi, gdyby pogoda dopisała. Ale pogoda nie dopisała. Pewnego popołudnia zerwała się burza, może wezbrało. Na parowcu zdania były podzielone: jedni byli za tem, aby natychmiast przybić do brzegu, a pośród nich i Kren Normand, utrzymujący, że tym razem i na połowie zarobku porzastać można. Inni chcieli dokończyć połowę i ci właśnie zatrzymali Karola. Rozszalałe żywioły rzuciły łódkę o złamaną żelazną krawędź parowca i łódka rozbiła się na zawsze; pomiędzy nimi był i Karol.

Omdlałego Krena zaniesiono do domu. Jan leżał w gorączce, nie czując, że obok niego złożono jeszcze jakieś ciało. Sara by-

ła właśnie w pokoju. Chory potrzebował jej pomocy: cudze nieszczęście kazało zamilczeć własnej bolesti.

Przyszłszy trochę do siebie Kren, zaczął rozmyślać nad poniesioną stratą. Synowie ci byli jego dumą i radością, prztem pomagali mu nieść ciężar troski o chleb powszedni. Tu w dunach wszystko jest wyrachowaniem — to wypływ smutnej konieczności. Można synów swych bardzo kochać, a jednakże wiedzieć, czem są wobec potrzeb codziennego życia.

Całą swą miłość Kren przełał teraz na najmłodszego. Jana i w nim pokładał wszystkie nadzieje. Zdarzało się często, że siadał w dunach na kupce piasku ze wzrokiem w dal utkwionym, mrużąc coś pod nosem, wkopując nogi w piasek i opodal rosnącą trawę i patrzył na blade-różowe wybrzeże, na unoszący się prąd, który zwiastował, że porównanie dnia z nocą przeszło, albo że się zbliża... zawsze to porównanie!

A w domu Sara gospodarowała. Kiedy ojciec i syn podnieśli się wreszcie z łoża, kiedy pierwszy raz uprzytomnili sobie, co utracili, zrozumieli też, co zyskali. Ani słówkiem o zmianie tej nie napomknęto. Wszło w zwyczaj, że młoda ta osoba, miła, łagodna, małomówna a nie krnąbrna, wchodziła i wychodziła z ich domu, aż wreszcie wprowadziła się na strych i zajęła się ener-

gicznie gospodarstwem. To ostatnie znajdowało się w stanie zupełnego zaniedbania.

Kren Normand mówił z nią bardzo rzadko w ogóle, o synach zaś nigdy. Pewnego dnia zastał ją we łzach nad jakimś starym listem i pojął wreszcie, że i ona stratę poniosła.

Rodzina Krena żyła w zupełnem prawie odosobnieniu. Jan był w jednym wieku z Sarą, młody więc, jak ona i przytem miękkiego serca, weselszy, niż tamci. Stał się jej powiernikiem. Czasami zdawała się być mu matką, on jej — dzieckiem.

Stary zauważył — z bólem w sercu — że młodzi zbliżają się do siebie. Lecz nie mógł się już obejść bez Sary, a kiedy zaczął rozmyślać nad tem, czy jednak nie potrafiłby jej usunąć, uczuł w głowie taki zamęt, w sercu taką boleść, taką niemożność przeniknięcia istoty rzeczy, że puścił wodze wszystkiemu, wszystkiemu, wszystkiemu! Tak, był już zbyt słaby, zbyt mały, by oprzeć się czemukolwiek — choćby sobie samemu!

Pewnego dnia, latem, Kren siedział na piaskowem wzgórzu i po przez wzniesienie leniwie spoglądał na morze. W nocy było bardzo zimno, burzliwie, teraz wiatr trochę uciął. Tylko wezbrane fale przykrywały



zonym z 6,000 głosów nauczycielskich jedynie o grubszą kromkę chleba... Nędza zrobiła z nas żywe obrazy nauki „poglądowej,” jakby na zaoszczędzenie naszym opiekunom wydatków na przybory szkolne. Tysiące są między nami, co nie mają czem przyodziać swych dzieci, tych kwiatów i nadejście naszych, nie są w możności posyłać ich do szkół, choć sami są światłodawcami, a patrząc na swoją nędzę, uczą o ojcowskiej opiece władz... Jakaż okropna parodia! Jest jednak zaraza, którą sam kraj niebacznym swem postępowaniem wszecpia w umysły młodociane. Jest to jad gorzszy od wszelkich krzywd, wyrządzonych biednemu nauczycielowi, gdyż zatruwa zawczasu serce i umysł niewinnych dzieci. Mamy tu na myśli owo rozgoryczenie, które coraz bardziej owładła umysł przewodników i wszecpia się przez ciągle obcowanie w młode latorośle. Widmo organizacji zwabiło nauczycielstwo, a przełożeni ludzka je do teraz przegrywaną na fujarce piosenką o wzniosłym stanowisku, którego nagrody szukaćby potrzeba w niebie. Ale frazesami tymi nie nasyci próżnego żołądka ani nie okryje nagiego ciała. Kiedy e. k. woźni i odźwierni mają nierównie lepsze uposażenie od nauczycieli, bo prócz 500 złr. płacy otrzymują różne łapówki, za niższe zaś pochylene się przed przechodzącym dygnitarzem smaczne kąski gratyfikacyj, nauczyciel ludowy po czterech latach walki z biedą podczas studyów w seminarium, po dwu latach bezpłatnej praktyki w szkole, a potem po kilkunastu latach pracy zawodowej dostaje około 200 złr. rocznego uposażenia, z czego będzie miał opłacać 60—70 złr. rozmaitych taks i należności. Mylne jest twierdzenie, jakoby lud nasz nie pragnął wogóle oświaty. Przyczyna jego obojętności i małego zainteresowania się szkołą nie leży w niechęci do oświaty, jak powszechnie sądzą, lecz w tem, że szkoła nie wpływa z potrzeb ludu, ani potrzebom tym czyni zadość. Drugą ważną przyczyną jest zwalenie na barki jego całego niemal ciężaru utrzymywania szkoły. Z goryczą musi on patrzeć na ten przybytek wiedzy, którego skutków jeszcze nie zaznał, ale który mu z ust odbiera ostatni kawałek chleba. Do tego dodać trzeba i wykonywanie przymusu szkolnego. Lud nie może obywać się bez pomocy dziatwy przy zajęciach gospodarczych. Z tym faktem należy się liczyć a nie okładać, jak to czyni ustawa szkolna, karami szkodliwymi a nawet wprost hańbiącymi nieposyłających dzieci na naukę. Jeżeli biednego wieśniaka za to, że używa

niezbędnych rąk swej dziatwy do gospodarstwa, grabią lub zamykają do aresztu, to naturalnie nie może on przyjaznem okiem patrzeć na sprawcę swego udręczenia. Środki zaradcze tego rodzaju, jak np. uzależnienie ślubu, schedy itp. od świadectwa szkolnego, okazałyby się, zdaniem naszym, o wiele skuteczniejszymi. Dotychczasowe zaś kary dotyczą zazwyczaj najuboższych. Zamożniejsi bowiem i bardziej wpływowi gospodarze umieją się zręcznie wywiązać z obowiązku posyłania swych dzieci do szkoły. O bezsilności kar przekonały się nawet władze szkolne, które w obecnym roku okazały większą wyrozumiałość w wykonywaniu przepisów co do przymusu. Rady szkolne tłumaczą ten objaw uwzględnieniem położenia ludności dotkniętej nieurodzajem. Mimo to wykonywano w tym roku orzeczeń, skazujących na karę aresztu, 2,653! Suma zaś grzywien pieniężnych, ściągniętych od nędzarzy za nieposyłanie dzieci do szkoły, wynosi 9,436 złr.

Nie domagamy się na koszt ubogiego kraju zbyt licznych budynków i przyborów, którymi się odznaczają gmachy szkolne za granicą, ale stosunki uposażenia naszych szkół są pod względem zdrowotnym zabójcze. Urzędowa statystyka wykazuje niemal połowę szkół mniej lub więcej „nieodpowiednich” pod tym względem. Zamkniętych zaś i nieczynnych dla braku budynków—86.

W myśl uchwały sejmowej dążyły władze w tym roku do zaopatrzenia w szkoły tych gmin, które ich dotąd nie mają; natomiast nie polepszono stosunków w istniejących już zakładach. Nie zwiększyła się też ilość szkół w miastach, gdzie obok przeludnienia kwitnie analfabetyzm. W stolicy kraju nie uczęszcza do szkoły 10,612 zapisanych dzieci, a ile nie zapisało się! Natomiast w jednej klasie napotkasz stu kilkudziesięciu uczniów, zbitych do kupy jak śledzie. Nadto ilość klas równoległych przewyższa cyfrę głównych, na czem cierpi ogromnie stan klas prowadzonych przez nauczycieli tymczasowych, zmieniających się za lada podmuchem wiatru albo ginących z głodu na nadetatowych posadach (płatnych po 10 do 20 złr. miesięcznie!). W takich warunkach daje się coraz dotkliwiej odczuwać brak sił nauczycielskich w Galicji, co stwierdza nawet urządowe sprawozdanie, starające się uwydatnić postępy szkolnictwa w jaskrawych zestawieniach liczebnych. Dziś wstępują do zawodu nauczycielskiego odpadki społeczeństwa, a czynią to nie z zamiłowania, lecz z konieczności. „Wenn alle Stücke reissen...” Odwrotnie idą uzdolnieni nawet

nauczyciele do straży skarbowej, do urzędów podatkowych itp., panuje już bowiem ogólne przekonanie, że praca około wychowania w szkole ludowej nie przynosi odpowiednich ofiarze wyników, gotując światłodawcom samym przedwczesny grób, a skazując pozostałą rodzinę na niedostatek i nędzę. *Beta.*

## LISTY WIEDŃSKIE.

8 listopada.

Parę słów o Bibliotece polskiej. — Wykład dr. Binde-ra o regulacji waluty i odczyt p. Wyczółkowskiej o subiektywizmie kobiet. — Wystawa nowo-zelandzka w muzeum przyrodniczym.

Biblioteka polska z nastaniem pory zimowej rozpoczęła zwykłą swą działalność, której zawdzięczać należy zogniskowanie inteligencji polskiej, żyjącej w Wiedniu. Dwa odczyty w krótkim po sobie czasie ściągnęły publiczność do lokalu na Dorotheer-strasse. Dr. Binder, wielce zasłużony w rozwoju Biblioteki, doradca prawny Banku austro-węgierskiego, przedstawił w swym wykładzie powikłaną sprawę regulacji waluty austriackiej, o której tu wszyscy dziś mówią, a którą mało kto rozumie. Wykład ten był zarówno przystępnym, jak gruntownym i zawierał niejedną wskazówkę ceną, której brakło najlepiej nawet poinformowanym dziennikom tutejszym. Suchy nieco, acz ważny przedmiot zajmował bardziej mężczyzn, aniżeli panie, które tem żywiej zainteresowały się odczytem „O subiektywizmie kobiet.” P. Wyczółkowska, odbywszy studia filozoficzne w Paryżu, osiadła w Wiedniu, gdzie w Bibliotece polskiej rozwinęła działalność godną uwagi. Jej inicjatywie zawdzięczać należy powstanie kółka pań, zajmującego się literaturą i naukami. Odczytem swym dowiodła, że nie jest dyletantką na polu filozofii. Przedstawiła ona z pełną znajomością nowszej literatury psychologicznej istotę subiektywnego a obiektywnego typu umysłowego, wykazując następnie, że subiektywizm kobiet nie jest wpływem przyrodzonej, niezmiennej organizacji, lecz raczej skutkiem sfery umysłowej, w której kobiety żyć muszą, zajęte ich i całokształtu życia. Odczyt p. Wyczółkowskiej był istotnie zajmującym, bo zawierał wiele nader trafnych uwag i spostrzeżeń, świadczących o bystrej obserwacji, o szerokości poglądów prelegentki na życie i zrozumieniu skomplikowanych typów umysłowych. Styl płynny, barwny i pełen temperamentu oryginalnego dowodził, że p. Wyczółkowska należy nie tylko do ludzi myślących, ale do tych, którzy powołani są do wysyłania myśli swych w świat. To też nie wątpimy, że z rozprawą jej zapozna koła szersze któreś z pism warszawskich.

Tłumy ciekawych ściga obecnie wystawa nowo-zelandzka do muzeum przyrodniczego. Dziwnym trafem zbadanie Nowej Zelandji zawdzięczamy dwom badaczom austriackim: prof. Hochstetter znanym jest ze swych studyów całemu światu naukowemu, a pono i Reischek, badacz i podróżnik niezmordowany, który w ciągu lat dwunastu nagromadził cały skarbiec kultury nowo-zelandzkiej, poczesne zajmie miejsce w rzędzie etnografów, skoro ogłosi drukiem wyniki swych poszukiwań. Reischek odpowiada całkowicie typowi śmiałych podróżnych, znanemu młodzieży z opisów pobytu wśród ludów dzikich. Niewyczerpany w podstępach, którymi bronił się przeciw drapieżnym instynktom ludów, poskramiając zazwyczaj dzikich dźwiękiem harmoniki; jako myśliwy torował sobie drogę przez lasy dziewicze, zbierając okazy zwierzyzny i roślin, odważnie też czołnem przesuwając się ku drobnym wyspom, rozsiadającym po morzu. Znosił zarówno klimat gorący, jak wilgocią przesiąknięty, zrezygnował całkowi-

mieliżnę, z hukiem starą pieśń mu niosąc, pieśń, w której ani jedna nuta o słońcu i pogodzie nie mówiła. „Jörgen,” „Karol” — oto słowa, które fale o mieliżnę rzuciły, a silny prąd w wirze unosił. Dlaczego on tutaj siedzi, dlaczego on się zestarzał, a młodzi pomarli? Dlaczego? Ale prawda, przecież Sara i Jan są jeszcze w domu, Sara, Sara o łagodnych oczkach! Teraz, w tej chwili, czy te nie patrzą na Janka, bo Janek z kilku sąsiadami jest na morzu. Przeprawili się na norweżkim promie. Ale Sara czeka i Sara naturalnie pierwsza Janka przywitał.

Stary ciężko westchnął i wkołał nogi w piasek. Byłże zazdrosny o miłość Sary dla syna? O miłość dla swego jedyne, jedyne, co mu zostało? Czy może o Sarę był zazdrosny, zamiast się cieszyć, że Sara jego własnego syna lubi?

Siedział wpatrzonej w ów prom norweżki, który się zbliżał, niby małeńka skorupka, daleko na mieliżnie. Nagle skorupka niknie, niby płatek śniegu w niezmierzonym błękitcie.

Nie krzyknął. Zarzekał jak zwierzę, śmiertelnie ranione. Potem zeszytywał jak trup, stoczył się z pagórka, podniósł się znowu i jak szalony pobiegł na wybrzeże, szukając czołna. Czołna nie było, bo ostatnia kłeska na parowcu pozbawiła miłośników duny jedyne ich bacika.

Przez cały dzień, całą noc i jeszcze cały dzień wzdłuż wybrzeża chodził człowiek stary, siwy, złamany, a za nim — młoda kobieta — szukali trupa.

Szukali razem, w niemej miłości dla Janka, z zamartwieniem słowem na ustach. I znaleźli go, daleko, daleko, dokąd uniosły go bałwany, a prąd przeciwny na brzeg wyrzucił. Ta sama niema miłość, bez słowa skargi, złączyła ich ręce, kiedy składali go na zwyczajnej tacze, aby wspólnymi siłami zawlec ją do domu. Ciągnęli ją po miękkim piasku, koło wcinając się w piasek, a pod wielkim ciężarem skrzypiało, skrzypiało tak żałośnie, jak kulik gwiżdżący w lesie.

Oto romans w dunach: jak wiele innych skończył się małżeństwem. Ludzie w dunach różnie mówili o tem, że Sara zdecydowała się wyjść za starego Krena. Była przecież po kolei narzeczoną wszystkich jego synów. Lecz ci ludzie z dun — jak zresztą i inni myślą i mówią zazwyczaj tak, jak gdyby istniał tylko jeden rodzaj miłości.

A miłość bywa różna...

Przełoż. *Malwina Posner.*



## BADANIA NAUKOWE. PSYCHOLOGIA.

Angelo Mosso, *Strach*, studium popularno-naukowe, przekład M. Flauma, Warszawa.

Nie każdy zapewne zna strach w tej jego potęgę, kiedy to „krew ścina się w żyłach,” a człowiek czuje się obezwładnionym wobec niebezpieczeństwa, czy to rzeczywistego, czy urojonego; sądzą jednakże, że każdy w większym lub mniejszym stopniu doznał go choć raz w życiu. Należy on bowiem do objawów powszechnych, wspólnych nie tylko wszystkim ludziom, bez względu na wiek i wykształcenie, ale i zwierzętom. Powiadają wprawdzie o pewnych osobnikach, a nawet czytamy o nich w historii, że szczególnym przywilejem natury wolni byli zupełnie od strachu i śmiało zaglądali w oczy najgroźniejszym niebezpieczeństwom. Przeczyć temu nie myślę, jakkolwiek tego rodzaju przykłady więcej może świadczyć o odporności organicznej na gwałtowne wzruszenia i o sile panowania nad sobą, niż o zupełnym braku wzruszenia, które w danych warunkach jest tak samo koniecznem, jak odbieranie wrażeń światła przez oczy, zwrócone ku słońcu. W każdym razie nawet ci, co zdają się nie uczuwać strachu wobec niebezpieczeństw rzeczywistych, bardzo często tracą całą przytomność umysłu wobec urojonych, jakimi są wszelkiego rodzaju przywidzenia.

Bądź jak bądź, kto się zastanawiał nad objawami strachu, ten nie mógł nie zwrócić uwagi na dziwną jego naturę, czyniącą zń niejako wyjątek z pośród wszystkich uczuć, zwykłych sercu ludzkiemu. Kiedy inne, tak przyjemne, jak i przykre, stanowią naturalne bodźce, popychające istoty żyjące do działania w celach pożytecznych dla życia, strach przeciwnie wywołuje w całym organizmie tak gwałtowne zaburzenie, że pod jego wpływem nie tylko ginie przytomność, ale nawet swoboda ruchu i to właśnie w chwili, która wymaga najenergiczniejszego działania i jasności myśli. Jak wytłomaczyć tę anomalję? Czy wystarczy powiedzieć, że pod tym względem organizm żyjący nie zdołał jeszcze należycie przystosować się do otoczenia? Ale w takim razie należy wyjaśnić przyczyny, dla których fakt natury tak powszechnej sam jeden oparł się wpływowi rozwoju i pozostał zdala od dobroczynnych jego skutków. To trudne ze wszech miar zagadnienie postanowił rozstrzygnąć jeden ze znakomitszych fizjologów włoskich, Mosso, którego dzieło zostało właśnie przyswojone naszej literaturze.

Autor, zabierając się do pracy, pojmował wszystkie trudności, które się z nią wiązały. To też wprzód nagromadził dostateczną ilość faktów, bądź znanych skądinąd, bądź przez siebie samego zebranych. Nie zadawała się on samą tylko obserwacją zewnętrznych objawów strachu, lecz usiłuje przeniknąć w głąb ich istoty, odkryć wewnętrzny ich mechanizm. Dlatego czyni liczne doświadczenia tak nad ludźmi, jak i nad zwierzętami, obmyślając w tym celu przyrządy, zapewniające jak największą ścisłość badania.

Zastanawiając się po kolei nad każdym ze szczególnych objawów strachu, wykazawszy wszystkie sprężyny, wprawiające w ruch sprawy życiowe pod wpływem gwałtownego wzruszenia, wznosząc się powoli od faktów pojedynczych do coraz szerszych uogólnień — dochodzi w końcu do wniosku, że strach jest chorobą, w części odziedziczoną po przodkach, w części nabywaną wychowaniem.

Jeżeli każdy z osobnych rozdziałów dzieła, stanowiących pojedyncze stopnie indukcyjnego dochodzenia prawdy, jest arcydziełem w swoim rodzaju tak pod względem ścisłości naukowej, jak i jasności wykładu,

cie z wygod życia cywilizowanego, częstokroć bywał rannym, ciągle się narażał. Jak uciążliwymi były jego podróże, wnosić można stąd, że zmuszony był pamiątki zdobyte dla swych zbiorów dźwigać na własnych plecach, co więcej, fundusze nie wystarczały mu często. Wówczas wracał w okolice cywilizowane, a popracowawszy przez czas jakiś, ze środkami zebranymi szedł znów do maoriów. Właśnie zbadaniu tego szczepu polinezyjskiego, dziś zanikającego, poświęcał się Reischek. Poznał on dokładnie jego naturę i zwyczaje, a zbiory jego ilustrują wyborne nie tylko przyrodę, ale całokształt kultury maorów, ich życie codzienne i sztukę.

Kultura ta zaś zajmująca jest głównie z tego względu, że przedstawia czysty typ z okresu kamiennego, którego życie różni się zasadniczo od życia ludów, używających już kruszców. Wszystko to idzie trybem niesłychanie powolnym, pokolenia składają się na to, czego na wyższej stopie kultury dokonywa jednostka w kilku latach, a na rzeczy, które człowiek obeznany z użytkowaniem wyrabia w ciągu kilku godzin lub dnia, jak np. topór kamienny, maori potrzebuje lat dwanaście. We wszystkim występuje jako cecha charakterystyczna skierowanie umysłu ku przeszłości, zajmowanie się pokoleniami minionymi, bezmyślność w odniesieniu do przyszłości.

Najpospolitszym w u maoriów narzędziem jest broń, przeznaczona nie dla zwierząt dzikich, rzadkich w Nowej Zelandyi, lecz dla sąsiadów. Buława odgrywa rolę miecza w tradycji rycerskiej: z dumą wyliczają tam właściciele buław poszczególnych, sięgając aż do przeszłości najodleglejszej: więcej niż inne ludy dzikie zważają maoriowie na strój; zmusza ich do tego klimat wilgotny. Praktyczny przemysł domowy wytworzył tam wyborne koce z włókien roślinnych, po których deszcz spływa, nieprzenikając ich. Znamiennem jest wyrażanie niechęci do przyjaźni lub wrogości rodzajem stroju: maori nosi inne ozdoby we włosach i w uszach, skoro okazać chce życzliwość, a inne, skoro zdradza nienawiść.

W sprzętach, przeznaczonych do użytku codziennego, częstokroć zastosowane są kości ludzkie, a niejedną z zebranych przez Reischekę odnosi się do zwyczajów ludożerczych. Są tam noże i widelce nadające się szczególnie do spożywania ciała ludzkiego, ozdobne naczynia, w których podaje się do użycia pewne części ciała itp.

Najoryginalniejszą i najciekawszą częścią wystawy Reischekę, to przedmioty sztuki. Odnoszą się one przeważnie do kultury; widzimy amulety kamienne, drobniutkie bożki, portrety umarłych, które otaczane bywają czciami, wreszcie fantastyczne postacie, kotoremu zdobiają świętynie, domy i okręty. Snyceństwo u maoriów bardziej postąpiło aniżeli plastyka kamienna, a ornamentyka zdumiewa bogactwem. Przedmioty zgromadzone przez Reischekę, to bez wyjątku wyroby epok minionych; pamiątki te nieraz już na polu w ziemi grzęzły, pokolenie dziś żyjące nie rozumiało ich i nie posiada już sztuki żadnej. Zajmującą jest okoliczność, że zarówno stroje ozdobniejsze, jak sprzęty artystyczne i przedmioty sztuki są wyrobami naczelników szczepu, żon ich i dzieci. Rodziny te, nieoddające się pracy codziennej, były wyłącznie uprawnione do zajmowania się sztuką. Ta arystokracja artystów potwierdza prawo historyzoficzne, że sztuka tam dopiero się poczyną, gdzie się skończyły trooki materialne i walka o byt codzienny.

Stwosch.

### JAN ORTH.

Prawdopodobna śmierć arcyksięcia Jana, który jako kapitan okrętowy miał zginąć podczas burzy obok przylądka Horn, obu-

dziła żal we wszystkich tych, co śledzili rozwój tego oryginalnego i szlachetnego charakteru. Dom Habsburgów szczycić się może, że wydał cały szereg jeśli nie umysłów, to charakterów niepospolitych: szkoda tylko, że paraliżował zazwyczaj ich dążenia i zmuszał ich do beczynności lub do zgonu tragicznego. Arcyksiążę Jan był człowiekiem nawskroś nowożytnym. Urodzenie posłużyło mu do zdobycia owego wytwornego ekstraktu wykształcenia, który wcześniej rozszerza umysł i ułatwia zorientowanie się w świecie i czynienie doświadczeń wszechstronnych; lecz nie napoiło go bynajmniej znanymi przesadami rodowymi lub klerikalnymi. Ujawnił on swą naturę naprzód zrzeczeniem się przydomku „Salvator,” przysługującego wszystkim członkom domu tokańskiego. Koła konserwatywne, wielce tem zgorzone, nie posiadały się z oburzenia, kiedy następnie arcyksiążę w balecie p. t. „Die Assasinen” przedstawił wykroczenia fanatyzmu religijnego. Po zde maskowaniu spirytysty Bastiana wydał broszurę, z której przemawiał duch człowieka myślącego filozoficznie i postępowo. Samoistność i zdrowy kierunek wystąpiły w sposób bardziej jeszcze rażący sfery rządzące w pismach jego wojskowych. Znanym jest odczyt jego „Drill und Erziehung,” zwrócony pośrednio przeciw arcyksięciu Albrechtowi, głównodowodzącemu armii austriacką, a żądający podniesienia umysłowego i moralnego poziomu armii. Mniej popularnie, a na podstawie szerokiego materiału wyraził poglądy swe na organizację armii i taktykę wojenną w dwutomowym dziele, przedstawiającem historię pułku im. arcyks. Wilhelma. Dzieło to zawiera o wiele więcej, aniżeli tytuł przyrzeka, mianowicie krytykę wojen Austrii od r. 1702 aż do czasów najnowszych. Rząd wyczytał z tej książki wszystko, co autor pragnął wypowiedzieć; stał zrodziło się owe głębokie niezadowolnienie, które arcyksięciu odbierało szansę do urzędziwistnienia reformatorskich myśli we własnej ojczyźnie. Będąc członkiem czynnej armii, trawiony skrupowaną energią i ambicją, w której stanowczo przeważały pierwiastki szlachetne, poczynił parę kroków sprzecznych z karnością. Wyjechał nagle do Londynu, nie wzięwszy urlopu, a o instytucjach armii i wybitnych jej wodzach wyrażał się w sposób bezwzględny. Przez czas jakiś żył arcyksiążę Jan w Orth nad jeziorem gmundenskiem lub we Fiume. Tam to dojrzała w nim myśl zrezygnowania z wszystkich przywilejów, które nadało mu urodzenie i rozpoczęcia nowego życia na nowej podstawie. Zdał egzamin na kapitana okrętowego i przyjąwszy nazwisko Orth, wybrał się do Ameryki, gdzie nabył okręt handlowy. Przed wyjazdem wystosował do redaktora dziennika *Wiener Tagblatt* list, zawierający ustęp charakterystyczny: „Jeszcze prosba jedna: zechciej pan wierzyć w czysty zapal, w dążność idealną, nie sądź, że we wszystkich wypadkach działa ambicja awanturnicza...”

Do niedawna było tajemnicą, że na niezwykły zwrot w życiu arcyksięcia wpłynęła w wielkiej części kobieta. Od lat paru kochał się w córce obywatela wiedeńskiego, która mu odwzajemniała się w uczuciach. Przed wyjazdem jego do Ameryki odbył się ślub tajemny, a w parę miesięcy potem młoda małżonka, bez towarzystwa pościła się w podróż i przybyła do Ameryki w chwili, kiedy Orth nabył okręt handlowy. Od tego czasu już się nie rozdziłili, a wierna towarzyszka zginęła zapewne wraz z mężem w falach morskich. Niektóre pisma powątpiewają o jego śmierci. Zdaje się, że w kołach najlepiej poinformowanych nadziei tej nie żywią, gdyż jeden z młodych książąt tokańskich wyjechał do Ameryki, aby odszukać zwłoki Jana.

S.



## ZAGADKI JĘZYKA.

to i z częściowymi wywodami autora niepodobna się nie zgodzić nawet wtedy, gdy występuje przeciwko takim powagom, jak Darwin i Spencer — za to ostateczny wniosek, do jakiego on dochodzi w swem zapamiętaniu na naturę strachu, wydaje mi się niedostatecznie upowodoowanym i zakrawa na jeden z owych paradoksów, jakimi bardzo często dopomagamy sobie w kłopotliwym położeniu, z którego inaczej wyjść nie można.

Nie ulega wątpliwości, że w bardzo wielu wypadkach strach jest objawem chorobliwym, ale bywają niemi również wszystkie inne wzruszenia i namiętności. Czy szalony gniew, popychający do czynów nietylko bezużytecznych, ale dla samego osobnika szkodliwych, nie jest chorobą? Czy rozpacz, zaślepiająca człowieka na wszystko, co nie jest jego cierpieniem i każąca mu szukać ucieczki przed niem w dobrowolnej śmierci — może się uważać za objaw normalny? Czy np. jakakolwiek namiętność, pozbawiająca nas trzeźwości umysłu i swobody woli, czyniąca z nas igraszki złudzeń, którym dobrowolnie się poddajemy — nie jest także swego rodzaju chorobą? Czy wszystko to jednakże upoważnia nas jeszcze do tego, ażebyśmy mieli ryczałtowo takie wzruszenia, jak gniew, rozpacz, zemsta, takie namiętności, jak miłość, bez względu na ich gwałtowność, w pewnych razach rzeczywiście chorobliwą, zaliczać do objawów z natury swej należących, jeżeli nie do psychiatrii, to w każdym razie do patologii wewnętrznej? Ależ w takim razie potrzeba byłoby wszystkie uczucia przykre zaliczyć do chorób, a idąc dalej w logicznej konsekwencji, skończyć na zdaniu Kanta, który uważał wszystkie wogóle uczucia za nie-normalne stany duszy, obojętność mając za ostateczny cel, do jakiego dążyć powinniśmy.

Nie przeczę, że strach zajmuje wyjątkowe stanowisko wśród innych wzruszeń, w każdym przecież razie nie o tyle, ażeby nie miał z niemi nic wspólnego i ażeby można go było uważać za coś bezwzględnie od nich różnego. Przeciwnie, wszystkie jego objawy co do swej natury są te same, jakie spotykamy w gniewie, rozpacz, zemście itd. i chyba tylko różnią się stopniem natężenia i pewnymi szczegółami, nadającymi właściwy im charakter i pochodzący stąd, że przyczyna ich jest różna. Strach czyni nas bezbronnymi wobec niebezpieczeństwa; czy nie ten sam skutek, jakkolwiek w mniejszym stopniu, wywiera na nas gniew szalony lub zemsta wściekła? Strach zabija ludzi; lecz tak samo zabija ich nieraz gniew, rozpacz, ból fizyczny i moralny.

Dla tego śmiem utrzymywać, że dzieło prof. Mosso, pomimo wszystkich zalet, jakie można przyznać pracy samodzielnej — zagadnienia, dotyczącego natury strachu, nie rozstrzyga, chociaż znacznie zbliża je do rozwiązania, dostarczywszy mnóstwo materiału, który przyszedłemu badaczowi ułatwi znakomicie badanie rzeczy.

Nie zmniejsza to bynajmniej wartości dzieła, które tyle zawiera w sobie pouczających wiadomości, że kto pragnie wyrobić sobie jasne pojęcie o tem, co się dzieje w jego organizmie pod wpływem wszelkich w ogóle wzruszeń, ten znajdzie w niem dane, jakie mu w tym celu są potrzebne. Podnosi ją jeszcze sam wykład jasny i dla każdego przystępny, dla którego jednakże autor nie poświęcił nic z naukowej ścisłości. Godząc jedno z drugim, oprowadza on, że tak powiem, za rękę, czytelnika po krętym labiryncie organicznych zjawisk, spowodowanych wzruszeniem, pozwalając każdemu z nich prawie dotknąć się palcem. To też czytanie książki nie wymaga szczególnych wiadomości ani z anatomii, ani z fizjologii. Te, które są właściwe każdemu człowiekowi, mającemu ogólne wykształcenie, wystarczają najzupełniej.

Władysław Kozłowski.

Lingwistyka należy dziś jeszcze do najmniej popularniejszych umiejętności. Nie wpływa to bynajmniej z natury jej przedmiotu, owszem zagadnienia jej z wielu względów ciekawe są dla każdego myślącego człowieka i nader często występują w rozmowach potocznych. Zjawisko, o którym wspominamy, tłumaczy się tą okolicznością, że językoznawcy prześcigają innych uczonych w suchości i drobiazgowości swych badań i dzieł, a tym sposobem odstraszały niespecjalistów. Z tem większem uznaniem tedy powitać należy najnowszą pracę znanego filologa R. Kleinpaula, który spróbował pióra swego na różnych polach twórczości literackiej, wrócił do swej ulubionej umiejętności jako stylista wyrobiony i popularyzuje obecnie cele, metody i wyniki badań lingwistycznych \*).

Dla Kleinpaula język to „największa, najstarsza i najświętsza zagadka,” słowa zaś są „najpopularniejszymi i najciekawszymi” zagadkami. Zajmuje on się językiem dlatego, że „poza nim nie istnieją zgola pojęcia, a cała wiedza ludu zawartą być musi w słowach języka jego, niby w orzechach.” „Gdyby język nie był stracił pierwotnej swej wyrazistości, nie potrzebowalibyśmy nie zgadywać.”

Tendencja popularyzacyjna spowodowała pewną niesmaczność w dziele Kleinpaula. Mamy na myśli podział materiału. Autor grupuje go w trzech częściach, które porównywa do dań uczy: pierwsze podnieca, drugie syty, trzecie zabawia. Stąd tytuły działów tych brzmią dość dziwnie: 1-e danie (Gang): badania wstępne, 2-e danie: reguły sztuki, 3-e danie: owoce interpretacji słów.

Naprzód zapoznaje nas Kleinpaul z powodami przemiany zgłosek. Wykazuje on, ile form językowych powstało wskutek nie-dbałej wymowy, wskutek ściągnięcia słów kilkozgłoskowych, następnie wskutek dodania jakiejś zgłoski lub drogą przestawienia zgłosek. Oto parę przykładów. „Sarkofagiem” zwali greccy, według Pliniusza, pewien gatunek kamienia trojańskiego, podobny do wapna, który rozkładał i pochłaniał rychło trupy w nim umieszczane. Z czasem przeniesiono nazwę tę na trumny, a Niemcy, opuszczając zgłoski końcowe, zowią trumnę „Sarg.” Dość dziwną jest geneza nazwy pięknej rośliny, zwanej u nas „oleandrem.” Grecy zwali ją „Rhododendron,” rzymianie „Lauridendron”; stąd wytworzyła się dalsza nazwa „Lauriandrum,” następnie „Auliandrum,” wreszcie „Oleandrum.”

Skutkiem opuszczania zgłoski „graph,” wytwarzają się obecnie w Ameryce słowa takie, jak: „Photo,” „Litho” itp. Przykład opuszczenia w środku słowa, widzimy w niemieckim „Getreide” (zboże), które pierwotnie brzmiało „getregede.” „Welt” dawniej brzmiało „weralt.” Po dodaniu gloski „e,” z rzymskiego „spiritus” powstało francuskie „esprit.” „Wiele form tłumaczy się prawem „przestawienia glosek.” Tak z greckiego „morfe” powstaje rzymskie „forma,” z łacińskiego „dens,” niemieckie „Zahn,” i t. p.

Obok zmian brzmienia słów, odbywają się zmiany w ich znaczeniu. Według Kleinpaula język pierwotnie nie tworzy słów odpowiadających pewnym pojęciom, jeno wyłącznie imiona. Poglądu tego nie dzieli większość językoznawców. Według M. Müllera i S. Noirégo źródłosłowy języków indogermanskich oznaczały czynności. Działając, człowiek musiał myśleć, a tworząc dla swej czynności określane ją brzmienie, oznaczał zarazem swą myśl, a więc pojęcie. Słowo było zawsze skróceniem dla pewnego splotu wyobrażeń; często oddawało ono je-

dno znanie przedmiotu. Pierwotnie istniała świadomość tego związku genezy nazw; lecz niebawem pokolenia po sobie następujące łączyć zaczęły mgliste wyobrażenia ze słowami, aż wreszcie podłożono im pojęcia nowe. Etymologia zajmuje się objaśnieniem słów dziś w używaniu będących, badając pierwotne ich znaczenie. Według Kleinpaula już greccy wiedzieli, że słowa z biegiem czasu zmieniają formę i znaczenie. Wykładowi słów przypisuje Kleinpaul wielką doniosłość dla historii poznania ludzkiego i dla filozofii. Pierwotną, najdawniejszą filozofię, wiarę i etykę odkryć może tylko etymolog. A jeżeli usilnem dążeniem logiki i metafizyki jest zredukowanie liczby pojęć, to w dążeniu tem etymologia najdzielniej je wspiera, wykazując, że wiele słów, które uważano za nazwy niezależne od siebie, są identycznymi. Ma się rozumieć, że doniosłość taką przypisywać należy tylko etymologii poważnej, postępującej ostrożnie i sumiennie, nie zaś owym igraszkom, jakimi zabawiali się dawniej filologowie, którzy niemieckie słowo „Fuchs” wyprowadzali z greckiego „alopex” w sposób następujący: alopex, opex; pex; pex; pix, pax, pox, pux — Fuchs.

L.

## W PRZEDMIOCIE LECZENIA SUCHOT.

Odbieramy list następujący:

Berlin, 10 listopada.

Dzisiaj wreszcie mogłem się zobaczyć z Kochem. Oto co mi powiedział w kwestyi nowej metody szczepienia suchot: „Dzienniki nie nie wiedzą z tego, co robię, a twierdzenia swoje opierają na domysłach. Nic nikomu nie mówię, przygotowuję szczepionkę sam, chorych zaś szczepi dr. Cornet, który w tym celu otworzył klinikę. W swoim czasie — a nastąpi to za parę tygodni — ogłoszę moje dotychczasowe wyniki. Żadnych odczytów w kwestyi tej mieć nie będę.” Po omówieniu z Kochem kilku spraw, dotyczących mikrofotografii kokcydów i plazmodyów oraz po obejrzeniu najciekawszych preparatów z tej dziedziny przez Kocha i Pfeiffera zrobionych, pożegnałem go i udałem się do dr. Corneta, którego spotkałem tuż przy wyjściu z instytutu higienicznego. Prosiłem go, aby mi pozwolił obejrzeć klinikę i chorych: dwóch przyszedł z sobą, mianowicie młodego człowieka i dziewczynę, mających obszernego wilka twarzy \*). Tych po dokonaniu zdjęć przez Pfeiffera ma zamiar wziąć do szczepień leczniczych. Na zapytanie, czy chorych przyjmuje, odpowiedział twierdząco, ale dodał, że nastąpi to po pewnym czasie, gdy klinika zostanie rozszerzoną, za dni 8—10; obecnie wszystkie miejsca zajęte.

To więc, co mówią o robieniu prób w szpitalu Charité, nie jest prawdą. Na zapytanie moje co do istoty szczepionki, Cornet odpowiedział, iż szczegóły zostaną ogłoszone, nie jest to jednak żaden preparat chemiczny, ale produkt przygotowany na drodze bakteriologicznej. Obecnie — dodał — serya pierwszych doświadczeń została ukończoną, robione są zaś szczepienia lecznicze, których wyniki ogłoszone zostaną razem ze sposobem przygotowania szczepionki.

O ile dotąd sądzić można, szczepionka wytwarzana jest w sposób podobny do przygotowania jadu wścieklizny: zarazek przeprowadzony zostaje przez ustrój zwierzęcia odpornego na gruźlicę z tą odmianą, że następnie, o ile się zdaje, hodowanym jest na glebie, powstrzymującej rozwój siły zakażającej bez uszkodzenia samych własności morfo i biologicznych bakterij gruźliczych.

W śróde zobaczę klinikę Corneta i doniosę o szczegółach.

O. Bujwid.

National Zeitung, która z Kochem pozostaje w bliższych stosunkach, donosi w dalszym ciągu szczegóły interesujące, ale do-

\*) Dr. Rudolf Kleinpaul *Die Räthsel der Sprache*, Lipsk, Wilhelm Friedrich.

\*) Wilk jest rodzajem owrzodzenia spowodowanego przez ten sam pasorzyt, który, lokując się w płucach i niszcząc ich tkankę, powoduje suchoty.



tyczące tylko zewnętrznej strony badania. Według niej pomocnikami Kocha są czterej lekarze: Arnold Libertz z Frankfurtu, Wiliam Levy (chirurg) z Berlina, Jerzy Cornet z Reichenhall i Edward Phuhl, jego zięć. Koch rozpoczął doświadczenia na przód w Charité (w oddziale Senatora), ale je przerwał i porzucił się z dr. Levym, który posiada prywatną klinikę chirurgiczną na Prenzlauerstrasse 46. Po cichu przyjęto do tej kliniki pewną liczbę odpowiednio chorych i rozpoczęto doświadczenia na suchotnikach oraz dotkniętych gruźlicą w innych organach. Jak starannie zachowywano tajemnicę, okazuje się stąd, że zarówno chorzy, jak i lekarze, obowiązani byli nie mówić nikomu ani o miejscu swego pobytu, ani o sposobie leczenia, a tylko niewielu osobom, odwiedzającym chorych, dozwolony był wstęp. Obecnie próby metody Kocha dokonywane są w innych zakładach — w klinice Bergmanna, w szpitalu garnizonowym itd. U Bergmanna przeszłego czwartku po raz pierwszy 15 chorych na gruźlicę kości i stawów poddano metodzie Kocha, a nazajutrz Bergmann przedstawił zaufanemu kółku lekarzy jednego z owych pacjentów dla okazania, że już w ciągu 24 godzin nastąpiło polepszenie stanu zdrowia. Co do natury i składu samej materii leczniczej — zachowywana jest dotąd tajemnica. Koch własnoręcznie przygotowywał swój środek i daje go do doświadczeń. Substancja ta ma zawierać pewne przemiany bacillus tub., jest płynną, chorym na płuca zastrzykiwaną w plecy, dotkniętym zaś gruźlicą innych organów — w najbliższym miejscu. Nie zawsze, ale często w pierwszych dniach po zaszczepieniu występuje gorączka, która jednak ustaje i organizm nie ponosi żadnej szkody. Dotychczasowe rezultaty wykazują już podobno szereg szczęśliwych uleceń.

## LITERATURA I SZTUKA.

### WYCHÓDZTWO I JEGO LITERATURA.

„Poszli w świat szeroki, obcy, różnobarwny. Szli z miejsca na miejsce, z awantury jednej w drugą, jeszcze gorszą, z zajęcia do zajęcia.”

Tak pisze p. Rodziewiczówna o bohaterach swej powieści, a puszczona luzem myśl moja — gdy to czytałem — biegła za nimi jak lotny wicher, niehamowana niczem, wolna i rzeźka. Pruła morza, przebiegała lasy dziewicze, jak koń rozhukany szalała po stepach.

„Pampasy gorzały łuną słońca. Na widnokręgu purpurowym sylwetka jeźdźcy wystąpiła jeszcze daleka i gnała w stronę obozowiska.”

Kiedym skończył ten ustęp z *Kwiatu lotosu*, a jednym tchem go pochłonałem, duszno mi się zrobiło pośród ścian czterech. W skroniach mi tętniło, pierś podnosiła się ciężko głębokim oddechem. Rzuciłem się do drzwi bez czucia już i bez pamięci — ledwie żem czapkę pochwycił po drodze.

— Pan wychodzi? To chyba niech pan kalosze weźmie, bo straszne błoto, ale i kolacya już na stole.

Stałem, jak wryty: błoto, kolacya — przecie Rodziewiczówna ani słówkiem o tem nie wspomina...

Inaczej nieco, a przecie podobnie pisze Sienkiewicz w *Listach z Ameryki*, podobnie pisują i inni. Każda opowieść podróżnicza zatracza te szczegóły życiowe, poniekąd musi je zatracić, jeśli nie chce być nudną. Niemniej przeto każda z nich tem samem staje się fałszem, rozczarującym niemożliwe pragnienia, które potem twarda rzeczywistość kruszy swem technieniem.

Jeśli jako cien tym światłom mamiącym podłożymy pozorne kontrasty w rodzaju Sienkiewiczowskiego „Za chlebem” lub

dziennikarskich artykułów, podobnych skreślonoemu przez Dygasińskiego opisowi podróży czwartą klasą do Brehmy — stworzymy obraz barwny, silny zaiste światłocieniem, ale z gruntu nieprawdziwy.

Czytelnik przyzna mi niewątpliwie prawo własnego sądu w tej sprawie, jeśli dodam, że przed sześciu laty jeździłem do Ameryki w charakterze najzwyczajniejszego wychodźcy; że zanim jeszcze wyjechałem, znałem zbliżka chłopów wychodźców i wiele utworów poezji ludowej ze zwrotkami, zaczynającami lub kończącami się rzewnie przeciąganiem „do Hamery-yki,” które opisywały przesadnie niebezpieczeństwa przeprawy, albo też wychwalały „pańskie” życie w nowej ziemi, nie przepominając jednak, że „chleb tam biały, ale nie sytny,” że „jesz mięsa kielo chcesz,” „chodźsz w gumowych butach,” „grasz na bilardzie w salunie” \*), ale nie zatańczysz jak w „oldkontry” \*\*), że „jensze tam ludzie, inakszy obyczaj”; wreszcie, że w Ameryce nie zajmowałem się dziennikarstwem, ani malarstwem, jak znany mi osobiście, a czytelnikiem z wieści zapewne literat, warszawianin Sadowski. Nie zajmowałem się nauczycielstwem, ani niczem podobnem, ale żyłem za pan brat z naszymi chłopami. Mówiłem do starszych „wy,” a oni do mnie, jako do młodego „ty.” Razem z nimi podawałem deski w Chicago lub połcie wieprzowe w olbrzymich rzeźniach w Kansas.

Otóż spokojniak z doświadczeniem nie wahałem się uderzyć w piersi i przyznać, że wolę czytać Słowackiego *Zachód słońca na morzu*, niż oglądać go ze statku własnymi oczyma. Więcej powiem. Kiedym po powrocie przeglądał moje listy pisane z podróży do rodziny, dziwiłem się wrażeniom, jakie one na mnie czyniły. Zaprawdę rzeczywistość nigdy tych, a przynajmniej nigdy takich nie budziła. Sądzę też, że każdy, rzucający się w świat dla wrażeń, zawiedzie się. Nie znajdzie ich w podróży, chyba stworzy je po powrocie.

Przykład najlepiej rzecz wyjaśni.

„Kansas — pisałem stamtąd — przelećz wysoka i cienista w dwie łamie się połowy. Część wschodnia europejska, ba, nawet bardziej, niż to w Europie bywa, czysta i schludna, o szerokich ulicach, pięknych budowlach, a dalej od centrum rozkosznych domkach z okalającymi je ogródkami — barwnem jest i uroczem zjawiskiem. Zachód zaś to niby jedna fabryka. Dworzec kolei, jego rozległe zabudowania i jeszcze rozleglejsze pola zajęte pod tory. Olbrzymie rzeźnie, gdzie w jednej dziennie do 7,000 stworzeń ginie pod toporem. Wreszcie małe, lichy drewniane domki, mieszkania robotników — stanowią tę Gehennę.”

„Kiedysmy po ciemku, wydrapawszy się na przelecz, stanęli na jej szczycie, po za nami, na prawo, z za lesistego wzgórza wschodziło rumiane słońce — przed nami z lewej strony za górą między Wyandolte i Armstrong” chował się również czerwony księżyc. W mieszanem świetle rozpoznałismy na zachodzie ciągnące z północy ku południowi miasteczka Armourdale, Argentinia, Rosedale. Za nami jasne już wszystko i świetlane, z przodu pod nami otchłań ciemna, mgłą pokryta, migocąca tu i ówdzie elektrycznym lub gazowym światłem, ziejąca dymem fabryk i lokomotyw, a z panującego tam chaosu wyłamuje się od czasu do czasu świst przeraźliwy fabrycznej pieszczalki, który robotników nawołuje do pracy.”

Niezwykłe to było, i dziś swobodnie, z rozkoszą mogę sobie odtwarzać tę scenę, poić się jej wrażeniem. Ale kiedy stanąłem na szczycie przeleczy, spiesząc do pracy w rzeźni, ledwie czas znalazłem obejrzeć się wkoło dla rozpoznania sytuacji. A kiedy pod namiotem, pisząc na kolanie, pośpiesznie uzupełniałem obraz z pamięci,

musiałem zwrócić uwagę na gotującą się opodal mamalygę.

I cienie, o których wspomniałem, mogę w mych listach odszukać, one również sprzeniewierzały się rzeczywistości.

„Podróżujący, t. zw. międzypokładem, umieszczani bywają niżej drugiego przynajmniej pokładu, pod kajutami dla podróżującej arystokracji i służby okrętowej przeznaczonemi. Są tam przestrzenie mniej więcej 500 m. sześciennych pojemności mające, gdzie między podłogą a powalą może na 2½ m. od siebie odległymi, umieszczono, jeden nad drugim, dwa pokłady z desek zbitych łózek, wąskie zaledwie między ich rzędami zostawiając przejścia. Jadący dostaje połowę takiego łózka, około 2 metrów w kwadrat mającego. Połowa ta służy mu zarówno za sypialnię i gotownię, jak i jadalnię. Prosto usiąść tam nie można, więc jeśli się nie chce leżeć, a słońca lub zimno spędzi z pokładu, siada się z nogami po turcku podgiętymi, z brodą przyciśniętą do piersi.”

„Jaki zaduch bywa, gdy w takiej przestrzeni 30 do 50 ludzi spi, większą część dnia przesiaduje i jada, a jeszcze czasem morze wzburzone nie pozwoli i parę dni z rzędu otworzyć dla przewietrzenia okrągłych, od talerza niewiększych otworów, oknami zwanych — łatwo sobie wyobrazić.

Wszędzie tam pełno śladów choroby morskiej, łupin z owoców i ziemniaków, które nieskrobane podają, ogryzków śledzi, kości itp.”

Pochlebiam sobie, że ten opis dosadnością realizmu nie ustępuje temu, w którym Dygasiński poznajamia nas z wagonem czwartej klasy. Wrażenie zaś, jakie ten opis czyni, jest zupełnie fałszywem.

Czytelnik pod jego wpływem przenosi się od razu ze swego stosunkowo miłego otoczenia w tę atmosferę brudu i zaduchu, czuje wstręt, powiedziałbym, nawet grozę. Inaczej wychodźca. Znużony wprzód odbytą drogą i wrażeniami, wszedłszy do czystej, bo świeżo urządzonej przestrzeni, zastaje na przeznaczonem dla siebie miejscu nowy sienniczek i poduszczykę słomianą. Wyciąga się na nich, osiedla się czasowo i raduje kilkudniowym spokojem, jaki mu zapewnia to łóżko. Brud gromadzi się powoli i wychodźca ma czas przywyknąć do niego. Gdy wysiada nareszcie z okrętu, trwogą przejmują go niepewność dalszego losu. Żałuje niemal tej brudnej, zatęchłej nory.

Ale pomijając to, dużo więcej i dobitniej można powiedzieć na obronę międzypokładu i klasy czwartej. Jeżeli godzimy się na istnienie takiej ogromnej różnicy, jaka zachodzi między izbą, którą chłop razem ze swem bydłem zamieszkuje, a salonikiem z egzotycznymi roślinami, w którym przesiadujemy, lub boudoir'em, w którym pod atlasowymi koldrami sypiamy — to dla czegoż ma nas dziwić różnica między wagonem pierwszej klasy lub pierwszą kajutą, a między pokładem a klasą czwartą?

Potomek średnio zamożnej rodziny mieszczkańskiej, nie zaznawszy nigdy wprzód braku, a wzrosłem niemal w rękawiczkach, kaloszach i pod parasolem — nie uważałem przecie za stosowne dziwić się brakowi wyścielanych siedzeń w klasie trzeciej, ani też temu, że inaczej obchodzono się ze mną wtedy, kiedym jeździł pierwszą klasą do Kalwarii, albo drugą do Lwowa lub Wiednia i sute dawał napiwki, a inaczej wtedy, kiedy skromnie wybierając się klasą czwartą przez Niemcy.

Dygasiński ma rację, skarżąc się na brak wygody w klasie czwartej, ale niech pojedzie z żydami na jarmark, a przyzna, że na ich wózek jeszcze niewygodniej. Trzeba przecie mieć to na względzie, że cena biletu jazdy np. z Oświęcimia do Hamburga klasą trzecią kosztuje około 25 złr., a czwartą 10.

Co do obchodzenia się z wychodźcami, winę za niedobre ich traktowanie im samym przypisać należy, że pozwolą się tak

\*) Salon — piwiarnia.

\*\*) Old country — stary kraj, dawna ojczyzna.



## LIBERUM VETO.

Tajemnica emigracji brazylijskiej. — Kto i w jakim celu ponosi jej koszt. — Niedostateczność dotychczasowych przypuszczeń. — Dobroliwa mina gazet niemieckich. — Koniec widowiska. — Zagadki duszy ludzkiej i nasze o jej objawach wyroki. — Narada w przedmiocie oświecenia elektrycznego. — Według i wbrew tradycji. — Dogasające iskry.

Ruch emigracyjny do Brazylii osłabł, a raczej został w znacznej mierze zatamowany, odsłoniwszy jednak tylko swoje przyczyny miejscowe bez wyjaśnienia zewnętrznych. Wiemy, że on odbywa się na gruncie ekonomicznym. Chociaż z pewnym przymusem i niechęcią przyznajemy już nawet w pismach publicznych, że działają tu „bieda i nędza połączona z ciemnotą.” Ktoś w *Gazecie polskiej* dowodzi, że „przeciętny służący lub małorolny właściciel, rzucając się na oślep w wir emigracyjny, nie prawie nie traci i nie nie ryzykuje, gdyż gorzej pewno mu nie będzie, niż w domu... Większość (pracodawców) albo traktuje i uważa robotnika jak bydło, które, gdy starga siły, to się je wyrzuca, albo też wcale o jego losie nie myśli, uważając to za rzecz zbytętną. Trudno więc żądać od człowieka ciemnego, aby kochał swą ziemię, gdy ona głodem go morzy.” Autor ilustruje tę nędzę rachunkiem: 22 do 25 rs. za sług, 10 korcy zboża w ziarnie, półmorgowy ogród pod kartofle i opał, wystarczający na  $\frac{3}{4}$  roku — oto wynagrodzenie naszego robotnika, które ma go nakarmić i odziać wraz z rodziną. „Jak — pyta autor — i na co pierwszej wydać te 24 rs.? Skąd miśniom dać moc i energię, zjadając dziennie parę garncy kartofli z kapustą i zakalcowanym plackiem? Jak uniknąć pokusy kradzieży, próżniactwa? ...Gdy właściciele fabryk zwawym stosunkowo idą krokiem naprzód, aby podnieść byt materialny i poziom umysłowy swego robotnika, my, rolnicy, uzbiliśmy się w cierpliwość godną lepszej sprawy, głusi jesteśmy na głos, choćby rozsądny, co nam mówi, że i nasz wiejski robotnik więcej już wymaga, niż lichej dziennej zapłaty, zupełnej zależności od chlebowawcy, a w końcu perspektywy kija zebraczego na starość.”

Wszystko to jest najzupełniej słusznem i tłumaczy pochoptność naszego ludu do emigracji, zwłaszcza gdy agenci błyskają mu przed oczami zdradzieckim światelkiem szczęścia. Ale najjaskrawsze odmalowanie tej niedoli nie zdradza nam interesu, na którym agitacja zagraniczna oparła swoją robotę. Obdzieranie prostaczków przez agentów bynajmniej nie rozwiązuje zagadki, gdyż naprzód z tego rabunku nie ciągną zysku patronowie emigracji, a powtórę poniesione w nim straty równoważą się z nadwyżką osiągniętymi korzyściami. Jeżeli kontrabandzista, który przeprowadza nieciakających przez granicę, przewodnik, który ich obsługuje językiem, właściciel szopy lub gospody, który im daje nocleg, jeżeli te wszystkie pijawki ssą wychodźców, to przecież nie dzielą się swoimi łupami ani z głównym werbownikiem w Lizbonie, ani z towarzystwem przewozowem, ani z rządem brazylijskim. Stwierdzono zaś niewątpliwie, że emigranci ponoszą tylko koszt podróży do Bremy, że tam dostają pożywienie, że przyjmowani są na okręty bezpłatnie i że po wylądowaniu w Brazylii mogą z sobą robić, co im się podoba. Staje więc przed nami tajemnicze pytanie: kto i jaki ma interes w tem wywożeniu gromad ludzkich z Europy do Ameryki południowej? Pytanie to zaciękało mnie wielce, daremnie jednak starałem się zdobyć na nie zadowalającą odpowiedź i nikt też dotąd sfinksowej zagadki nie odgadł. Najrozmaitsze

traktować. Ale każdy prawie wychodźca — nie chłop jedynie — jest „przestraszonym.” Nie jest to wreszcie wyłącznym przywilejem rodu ludzkiego, boć i pies na obcym podwórku lada czego się przeleknie. Wiem, jak uspokajająco działało na mnie serdeczne przyjęcie, którego doznałem w Hamburgu od wyznaczonego na to miasto przez Towarzystwo św. Rafała męża zaufania, p. Meynberga i od wskazanego mi przezeń hotelisty Oelkersa, a przecież nie mogłem zachować zupełnej równowagi umysłu.

Wygląd wychodźcy ma dla znawcy cechy tak znamienne, że kiedyś się zjawił na dworcu w Hamburgu, a byłem równie przyzwyczajony ubrany, jak kiedykolwiek w Krakowie, stojkowi w tej chwili przystąpił do mnie, pytając:

— Sind Sie Auswanderer?

To też niesłusznie dziwi się p. Smólski w korespondencji do *Dziennika polskiego*, że mimo kraciastej chustki na szyi i brudnego kołnierzyka, wytrawny agent emigracyjny zwąchał w nim odrazu dziennikarza, może nawet urzędnika policji podejrzewając, ale nie uwierzył w wychodźcę.

Chłop zaś może i w lepszych, niż ja np., znajduje się wtedy warunkach. Do obchodzenia się szorstkiego przywykł on od dziecka i z trwogą — bywają w większych miastach lub przy wojsku służąc — miał czas się oswoić. Jestem też pewien, że wyniki sprostowań Dygasińskiego nie dadzą nam scen przykreszłych, niż te, jakie na tle stosunków miejscowych kreśli Sienkiewicz w *Szkicach węglem*, albo Prus w *Placówce*. (D. n.).

Uhma.

## T E A T R.

Adolf Abrahamowicz i Ryszard Ruszkowski: *Pospolite ruszenie*. Krotchowila w 4-ach aktach.

Jeśli p. Śliwiński przypuszcza, że publiczność uczęszczająca do teatru Małego będzie mu wdzięczną za wystawienie farsy spółki galicyjskiej, to się bardzo zawiedzie. Reżyser, żywo się krzątający około urozmaicenia repertuaru dał się skusić głośną firmą, której kilka robót miało powodzenie na deskach scenicznych dzięki tylko temu, że farsy traktuje się zwykłe pobłażliwie. Tym razem autorowie przekroczyli granice pobłażliwości nie tylko krytyka, ale i takiego widza, który po to wyłącznie idzie do teatru, iżby się uśmieć. Córki na wydaniu, rodzice poszukujący mężów, są to tak oklepane tematy, że trzeba bardzo zręcznej akcyi, bardzo oryginalnych postaci i prawdziwego humoru, ażeby sztuki takiej treści mogły zainteresować i zdobyć powodzenie. U pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego tych zasadniczych warunków nie znaleźliśmy wcale. Wprowadzili oni aż siedemnaście osób, które kręcą się bezustannie niewiadomo po co. Szlachcie zamieszkał w mieście z trzema córkami dla wydania ich za mąż. Jakież to już znanie! Wiemy co dalej będzie; zjawia się konkurencja, jedni się poženia, drudzy nie, jedne pójdą za mąż, drugie zostaną na koszu. Będą śmieszni starzy kawalerowie i szalawili, hulaki. Wszystko to jest w farsie spółki autorskiej. Państwo Pietrusińscy usilnie poszukują mężów dla córek. Zjawia się najpierw łysy b. kapitan wojsk włoskich, Bronisław (p. Galasiewicz), któremu nieodłącznie towarzyszy emeryt Aloizy (p. Borawski). Na wydaniu są tylko dwie; z odrazą przyjmują one starych kawalerów, bo poznały na balu dwóch młodzików wesółych, którzy się im oświadczyli. Mają złożyć wizytę rodzicom, więc się cały dom odświegnie ubiera, domownicy okolicznościowo się nastroją; jedna panna śpiewa, druga deklamuje, matka na żądanie ojca czyta artykuł wstępny. Ktoś dzwoni; okrzyk oburzenia — to starzy kawalerowie. Po chwili zjawia się kuzyn Pietrusiński,

Rzepecki (p. Morozowicz) po to, aby zirytować domowników przypuszczeniem, że panice nie przyjdą. Jakoż posłaniec przynosi list, uwiadamiający, że konkurencja zagorzeła. Powstaje popłoch w domu i to w chwili gdy starzy kawalerowie zaczęli się oświadczać. Zaniepokojony ojciec spieszy na ratunek i kompresami leczy zmyśloną chorobę — wynik rozrwy hulałów po wytrzeźwieniu. Jeden z nich, Stefan (p. Wysocki) załoty traktuje na seryo, drugi — Maryan, syn obywatelski (p. Śliwiński), radby się wykreść, stąd powstaje gniew między przyjaciółmi. Przyparci do muru, składają wizytę i oświadczenia się rodzicom, pierwszy dla naprawienia błędu, drugi — dla podtrzymania rwącej się przyjaźni. Gdy pierwszy zdołał bardzo prędko pogodzić się z losem, drugi, widząc okliwą, sentymentalną i nudną pannę, wpada w rozpacz, która się wzmaga z chwilą poznania „kociuszki,” najmłodszej i najrozsądniejszej córki pp. Pietrusińskich. Ratuje go z fatalnego położenia wieść o mobilizacyi. Należy do pospolitego ruszenia, a więc ma prawo do zwłoki w zeniacze i czas do zakochania się naprawdę w najmłodszej, Karolinie (p. Zimajerówna). Wicecznie ostrzegający kuzyn Rzepecki znajduje nureszcie chwilę, w której naocznie przekonywa rodziców o niewierności młodego szlachcica. Zamiana ról między siostrami odbywa się bardzo szybko; starsza odrazu rzeka się pretensji pod wpływem jednej tylko pogłoski, fałszywie puszczanej, że ojciec Maryana wydziedziczy za ożenek.

Tyle w całej tej farsie nieprawdopodobieństw, że zabrakłoby nam miejsca na ich wyczerpanie. Nie można wszakże pominąć zanadto rażących. Z kilkunastu postaci karykaturalnych wyróżnia się jedna, najmłodsza córka Pietrusińskich. Kręci się ona ciągle po scenie niby na uboczu, śledzi kroki starszych sióstr i czyni im rozsądne uwagi. Ona jedna tylko zdołała poznać całą lichotę moralną i umysłową młodego szlachcica, traktuje go pogardliwie. Tem większe nasze zdumienie, gdy się dowiadujemy, że ona kocha tego półgłówka, nieponia i chętnie mu rękę oddaje. Taką niespodziankę autorowie wywołali niedorzecznością psychologiczną, na której oparli także całą postać Maryana. Młody hulaka, wprawny w zawracanie głów pannom, który już cztery razy w życiu się oświadczał, nie wie, jak wybrnąć z wyznania (pod wpływem wina) miłości pannie, którą parę razy widzi w salonie. Mógłby tak postąpić, jak dawniej, ale wtedy pp. Abrahamowicz i Ruszkowski nie mieliby wątku do sztuki. Widzą oni sami wielką niedorzeczność w charakterze Maryana i chcąc ją naprawić, popełniają inną; dla złagodzenia gniewu przyjaciela każą młodemu szlachcicowi związać się z panną, do której wstręt czuje. Spółka, chcąc usprawiedliwić tytuł „sztuki,” wprowadziła na scenę pajaców obrzydliwie podrygujących. Ma to być gimnastyka pospolitaków, odbywająca się... w mieszkaniu Pietrusińskich! Na co się zda w takiej ramocie wysiłek aktorów? Najwdzięczniejszą rolę miała p. Zimajerówna, młodzikutka, początkująca artystka. Postać Karoliny zyskałaby wiele, gdyby jej przedstawicielka zdobyła się na większe urozmaicenie głosu, a mniej się posługiwała pieszczotliwym szczebiotem, prawie dziecięcym. P. Śliwiński z płytkiego hulaki Maryana zrobił... idyotę. Pp. Galasiewicz, Morozowicz, Sikorski, Wysocki i Borawski w swoich rolach wykazali sumiennosc i doświadczenie. Młody artysta, p. Kulesza, odegrał wcale dobrze ogłupionego wychowaniem jedynaka, wprowadzonego na scenę dla urozmaicenia komizmu; pp. Filebornowej, Mireckiej i Baumanowej radziłobyśmy mniej przesady.

Zenon Pietkiewicz.



przypuszczenia są tylko grą domysłów. Jedno z nich np. twierdzi, że pewna liczba okrętów, wracających z Europy do Ameryki bez ładunków, potrzebuje balastu i zamiast gruzu, który trzeba zwozić, zabiera ludzi, którzy sami przyjdą. Ale puste statki nie wracają do Brazylii, która przeciwnie ma duży przywóz, a mały wywóz. Inni twierdzą, że rząd brazylijski chce zaludnić swoje obszary i spotęgować siły podatkowe; ale — jak niedawno wykazywaliśmy w *Prawdzie* — Brazylia jest okropnie zadłużoną, więc zbywających pieniędzy na zakupywanie mas ludzkich nie posiada. Inni znowu utrzymują, że skutkiem zniesienia niewolnictwa zabrakło tam rąk roboczych, które plantatorowie, w porozumieniu z towarzystwami przewozowymi, sprowadzają sobie werbunkiem emigracyjnym; ale w takim razie dlaczego wychodźców niezem nie krepują ani co do wyboru miejsca, ani zajęć? Słowem, żaden z tych kluczów tajemnicy nie otwiera, a jednakże przewożenie tysięcy ludzi z Europy do Brazylii musi mieć swój cel i swoją rachubę, оголошену z pobudek idealnych. P. Dygasinski, wysłany przez *Kurjer Warszawski* dla zbadań ruchu emigracyjnego w całym przebiegu, kreśli ciekawe obrazki, zbiera i nadsyła objaśnienia szczegółowe, ale nie wydobyl rdzenia rzeczy, nie wytłumaczył: kto i dla czego ściągą na swój koszt tłumy ludzi do Brazylii? Wiadomo, że oni odpływają z Bremy, że w Lizbonie siedzi ukryty jakiś tajemniczy Santos, który rozdaje karty okrętowe i rozsyła swym agentom poufne okólniki — oznajmia nas tylko z organizacją przedsięwzięcia, ale nie z jego podstawą i sprężynami. Gazety niemieckie, które patrzą z blizką na ten werbunek, albo udają naiwność, albo go rzeczywiście nie rozumieją. Przedstawiają bowiem wychodźców polskich jako nieszczęśliwe ofiary, jako żebraków, którym miłosierny *Nordd. Lloyd* daje przytułek w Bremie i miejsce na swych okrętach. Kto zna filantropię towarzystw żeglugi morskiej, ten wie, że one darmo nie przewiozłyby wędrującego bociana, a co dopiero gromady ludzi — do Brazylii, z którą nawet nie utrzymują stałej komunikacji. W tej więc litości „leży jakiś pies pogrzebany“, ale jaki? Właśnie trzeba go odkopać i na wierzch wydobyć.

Zródło kilkudniowej „sensacji“, proces Skublińskiej, zakończył się — skazaniem jej wraz z siostrą na trzyletnie więzienie, głównego dostarczyciela fałszywych świadectw Polkowskiego na 2½ lat rot aresztanckich, reszta oskarżonych poniosła mniejsze kary lub została uniewinniona. Jak przewidziałem, nabywcy 25 rublowych biletów na to widowisko doznali rozczarowania; spodziewali się bowiem co najmniej kilkunastu lat robót ciężkich i Syberyi. Ale mniejsza o ten zawód. Ważniejsze od niego są — jak zaznaczyliśmy poprzednio — obrazy nędzy, upodlenia i niedoli, z których zdarto zasłonę w sądzie, a od których reporterya, malująca jaskrawymi barwami zbrodnię, odwróciła publiczną uwagę. Śmiało rzec można, że w sprawie tej daleko więcej ujawniło się grzechów społeczeństwa, niż winy wyrodniałych i zepsutych jego członków. Kiedy jednego oskarżonego, który nosił koszyki z trupami dzieci do stolarza i trumny na cmentarz, zapytano, dlaczego dopuszczał się tych wykroczeń, odrzekł naiwnie: ja ze wsi, myślałem, że to takie *obchody miejskie*. Ten człowiek, rozwojem umysłowym i moralnym nieprzerastający zwierzęcia, ani domyślał się, że robi coś karygodnego. Zdawało mu się, że cała ta sromota leży w porządku rzeczy, w prawidłowych „obchodach miejskich“. Ten Wiat i jemu podobni przerażają nas, nie tylko tem wszakże, że bez wstępu sypiają pod łóżkiem na trupach i noszą po mieście nieżywe dzieci w koszykach, jak zarżnięte gęsi, ale również i tem, że my o nich wyrokować musimy. Ile razy bowiem spojrzymy we wnętrze istoty, dokonywającej nalogowo i zawodowo zni-

szezeń, przestępstw, prawie zawsze dostrzegamy w niej taką bezwrażliwość moralną, takie potarganie i zwyrodnienie uczuć, że chcąc zrównoważyć odpowiedzialność psychiczną z odpowiedzialnością społeczną, nie wiemy, jaką zasadą ludziom tego rodzaju odmierzyć karę i ustrzedz się niesprawiedliwości. Nieraz zdaje nam się, że mamy przed sobą maszynę, która rozszarpała lub skałeczyla kogoś i którą my musimy ukarać. Psychologia w ostatnich czasach zrobiła wielkie postępy, w dziedzinie zaś zbrodni ukazała nam szereg wynaturzeń i fatalizmów, które działają z niepokonaną niezłomnością; ale ona jeszcze nie zdjęła z duchowej natury człowieka wszystkich osłon i nie wytłumaczyła nam całej powierzchowności wszystkich naszych orzeczeń moralnych o jego czynach. Z wiarą, że on *może* postąpić w danym wypadku tak, jak według naszego przekonania *powinien*, z uwagą utkwioną tylko w skutki nieznanego przyczyn, w zewnętrzne objawy jego duszy, sądźmy go, wyrokujemy, karzemy, często ani przypuszczając, że jest to sąd ślepy, wyrok bezzasadny, kara niesprawiedliwa. A jeszcze stosunkowo mniej tych omyłek popełniamy w trybunałach, ubezpieczających społeczeństwo od jednostek szkodliwych, niż w życiu codziennym, w orzeczeniach opinii, niezaglądującej prawie nigdy do duszy tych, których na podstawie oderwanego od niej czynu wywyższa lub poniża. Przysądzamy komuś sławę lub niesławę, przyznajemy mu cnotę lub podłość, a nazywamy samolubem lub dobroczyńcą dlatego jedynie, że usłyszeliśmy o jakimś jego postępku. Inaczej być nie może. Gdy ludziom do urzędzenia stosunków życia zbraknie wiedzy, posługują się niewiadomością. Więc i we wzajemnych o sobie sądach nie są świadomymi krzywdzicielami, ale naiwnymi prostaczkami. Oni muszą mieć swoje reguły czynów, tak jak muszą mieć swoje przekonania o materii i przestrzeni, których nie znają, ale nie mniej przeto, dopóki psychologia jest łańcuchem zagadek, wszystkie owe reguły stanowią tkaninę ciemnoty.

Gdyby inżynier Wasilewski był psychologiem, nie zwołałby na naradę tutejszych obywateli i nie namawiał ich do założenia spółki oświetlenia elektrycznego dla Warszawy z kapitałem 360,000 rs. Naprzód bowiem wiedziałby, że są pewne przedsięwzięcia, które nie mieszczą się w naszych głowach (tramwaje, telefony, bulwary nad Wisłą, hale targowe itp.) i wymagają zagranicznych. Powtóre — pamiętałby, że wszelkim spółkom większej miary klimat nasz nie sprzyja, gdyż zawiera on w powietrzu jakąś wilgoć, która je rozkleja. Potrzebie zrozumiałby, że świeże wspomnienia o Zwierzyńcu odstraszą uczestników nawet od widoku arkusza papieru mającego postać akcyi. To też jakkolwiek dla dopełnienia żądanej sumy potrzeba jeszcze tylko 240,000 rs. (120,000 zaofiarowało towarzystwo berlińskie), osiągnięto zaledwie w zapisach 34,000 rs., gdyż bogaci finansisci usunęli się od tego interesu, a hr. Krasiński „w najpóźszym razie“ przybiecał 15,000 rs. „W konkluzji“ — powiada *Kur. warsz.* — obradujący do żadnego rezultatu nie przyszli“ — czyli postąpili tak, jak chce tradycja naszych wieców. „Ostatecznie wszyscy się rozeszli z przeświadczeniem poronionego zamiaru i nawet o wyznaczeniu terminu nowej sesyi mowy już nie było.“ To już nie według tradycji, która żąda, ażeby obrady były bezowocne, ale zarazem, ażeby przeciągały się jak najdłużej. P. Wasilewski zapowiedział, że ów „poroniony zamiar“ podejmą i wypielegnują kapitaliści francuscy. Jeżeli tylko podejmą, to z pewnością szybko zbiorą pieniądze, szybko naradzą się, szybko wykonają plan i szybko zbudzą w nas pretensję — do najazdu obcych kapitalistów na nasz kraj.

Tymczasem jeszcze szukamy pomieszczenia dla nieistniejącego Zwierzyńca, jeszcze

próbujemy go wskrzesić, ale to już są ostatnie, dogasające iskry jednodniowych pomysłów. Na miejscu buchającego niedawno płomieniem ogniska leży tylko popiół okryty ciemnością, w której słychać skargi reszty głodnych zwierząt, dotkniętych gorszym losem od zmarłych w porę. I echa dobrych chęci założenia Towarzystwa aklimatyzacyjnego milkną powoli. Pozostał tylko smutek ruiny i szkody.

*Posel Prawdy.*

## NA WIDNOKRĘGU.

Przeciwdziałanie władz wychodźstwu brazylijskiemu. — Istotny stan rzeczy. — Koziół ofiarny emigracji. — Głos najmilty w sprawie stopy zarobkowej. — Pożar kopalni.

Dzwon trwogi, rezkołysany przez wychodźstwo brazylijskie, jeszcze nie zamilkł — ani w warszawskiej, ani w prowincjonalnej prasie. Władze uzbroił on do walki z prądem niepożądanym. Groźne widmo wyludnienia z siły roboczej folwarków i fabryk, wysuwane w ciągu kilku miesięcy przez korespondentów i publicystów — zrobiło swoje. Teraz będziemy z kolei świadkami odruchu organów administracyjnych, które przedsięwzięły cały szereg środków zapobiegawczych. To też całe partye „opatańców“ rozbijają się o rogatki, są areztowane przez policję i na miejsce zamieszkania etapem odstawiane. Ale zapobiegliwość i energia straży pogranicznej nie są dostateczne dla *Gazety rolniczej* i *Dziennika warszawskiego*; oba te pisma doradzają, żeby dozór był również rozciągnięty na te miejsca, skąd wychodźcy wyruszają. Władze gminne powinny baczyć, kto ze wsi ma zamiar emigrować i zawczasu zawiadamiać o tem władzę powiatową, której obowiązkiem będzie drogą perswazyi lub zapomocą energiczniejszych środków powstrzymywać obalamuconych. *Gazeta rolnicza* pragnie dorzucić jeszcze obostrzenie przepisów względem czeladzi, „samowolnie opuszczającej służbę.“ Gdyby przy ogniu „gorączki emigracyjnej“, rozdmuchiwanym przez podżegaczy, udało się upiec tę pieczeń „interesów folwarcznych“, zyskałoby na prawdzie przyszłowie narodowe o złem, które na dobre wyszło. Tymczasem sprężystość zapobiegawcza, wyraźnie zaczyna powściągać ruch wychodźczy. Temu zapewne przypisać należy fakt, że gdy przed kilku tygodniami (według telegramu z Berlina) przez Charlottenburg przejeżdżało emigrantów polskich po 500—1000 osób dziennie, wkrótce potem największe partye liczyły po 50—80 osób dziennie. Skłonniejszą jest do opamiętania się z „szalu“ ludność miejska, niż wiejska, co prawdopodobnie wynika z względnie wyższego poziomu umysłowego pierwszej oraz z jej większej podatności na wpływ prasy, z większego zaufania do przestróg, pochodzących z ust inteligencji.

Obraz jednak szwankowałby na pełności, gdybyśmy zamłodzieli o koźle ofiarnym sprawy emigracyjnej. Oto np. co *Gazeta rolnicza*, ten szanowny organ naszego ziemiaństwa, powiada z okoliczności ucieczki 14 robotników z cukrowni i folwarku p. Rephana w Zbiersku. „Na biedę narzekać nie mogli, krzywdy nie mieli: administracja dóbr i fabryk p. Rephana pod względem rzetelności, a nawet hojności dla podwładnych, za wzór służyć może. Ale tych ludzi skusił przykład karbowego. Gdy kto do czego jest skłonny, uczyć go nie trzeba: pół słowa wystarczy. Dzisiejsze pokolenie, nie pomiędzy samem tylko prostactwem, ogarnął jakiś niepokój; żądza szukania fortuny za górami jest powszechna. Trochę (?) rzeczywistej biedy, trudność zarobku, w klasach zamożniejszych, trudność utrzymania odpowiedniego do coraz bardziej rosnących wymagań; z drugiej jednak strony (słuchajcie!) — przewrotne doktryny materialistyczne, pod-



żegające egoizm a rozluźniające węzły rodzinne i społeczne, wytwarzając w klasie inteligentnej kosmopolityzm (!), nieznacznie oddziałują także na masę ludową, która z natury rzeczy nie może być idealniejszego usposobienia od inteligencji. Niech szanowny autor mi wybaczy, jeśli się przed nim zwierzę, że takie rozumowanie nasuwa mi na pamięć przysłowiowe skojarzenie gruszy, na której rośnie pietruszka, smakiem przypominająca cebulę... Po co sobie głowę daremnie zawracać frazesami żywcem wyjętymi z ust lichych kaznodziejów?

Z przyjemnością witamy głos najmitów (a może tylko przyjaciela najmitów) z Sosnowca, który się ozwał na szpaltach *Gazety przemysłowej*. Idzie mu o podstawę przyjętą przez nowe prawo o ubezpieczeniu robotników w wypadkach kalektwa i śmierci. Ponieważ, jak wiadomo, wynagrodzenie odnośnie ma być obliczane w stosunku do stopy zarobkowej, korespondent wyraża życzenie, żeby „doszedł do szerszej wiadomości, a przez to i do sfer rządzących obecnie egzystujący porządek” określenia płacy w fabrykach. „Dzieje się mianowicie u nas tak — powiada: każdy z robotników ma naznaczony „lon“ (płaca od czasu), czy pracuje na duiówkę, czy na „akord“ (płaca od sztuki) — tym ostatnim naznaczają lon dowolnie i zupełnie nieodpowiadający ich zarobkowi. Bo zarabia się przeciętnie, dajmy na to 25 rs. na „fercentag“ (dwutygodniowy okres czasu), a figurując po listach płacy lon nie przewyższa 10 — w wyjątkowych razach 12 kop. na godzinę. Podobna niesprawiedliwość, jak dzisiaj, ma na celu ograniczenie wynagrodzenia, pobieranego przez robotnika z „krankkasy“ w razie choroby, choć nasze ustawy tychże kas, w podobnych wypadkach zapewniają całkowity w czasie zdrowia otrzymany zarobek. Da się ta niewłaściwość dotkliwie uczuć, gdy nieszczęście przyjdzie na człowieka, gdy się pochoruje z miesiąc czasu i żyć i utrzymywać całą rodzinę trzeba z połowy, a nie rzadko z trzeciej części swego zarobku, do którego się przedtem przyzwyczaiło i odpowiednio regulowało. Bywały wypadki, że w razie procesu o wynagrodzenie sąd brał tylko pod uwagę tenże fałszywie w listach płacy oznaczony lon.“ Otóż wobec tego, że wkrótce ma pozyskać siłę obowiązującą ustawa o ubezpieczeniu robotników, autor słusznie zaleca pp. inspektorom fabrycznym, czy też specjalnej komisji, zbadanie stanu istotnej stopy zarobkowej, która ma być punktem wyjścia dla wynagrodzenia za nieszczęśliwe wypadki. Jego zdaniem sprawa unormowania lonu do zarobku na akord jest bardzo łatwą, „gdyż każdy z pracujących w większych fabrykach przechowuje wydane wraz z pieniędzmi kartki, w których jest wpisany jego zarobek.“ Wobec faktu, że ta strona stosunków fabrycznych najmniej jest u nas zbadaną, jak też ze względu na sprawiedliwość, która może uciepnieć przy stosowaniu ubezpieczenia od wypadków, jeśli rzeczywiste warunki nie będą zbadane dokładnie — my też swój głos łączymy z głosem najmitów.

Kopalnię Towarzystwa von Kramsty „Ignacy Mortimer“ pożerają płomienie. Ośiem chodników, wychodzących na powierzchnię ziemi, jak kraterzy wulkanów buchają kłębam dymu i ognia. Kopalnia „Ignacy-Mortimer“ była jedną z najbogatszych w powiecie będzińskim, pokład węgla w niej wynosi od 5—7 sążni grubości i należy do przedniego gatunku. Zachodnie pole tej kopalni, czyli t. zw. „Mortimer“, którego zapasy węgla mogły starczyć przynajmniej na lat 20, skutkiem niedbalstwa i nietaktu inżyniera Bongardta i jego pomocnika Jekla — zostało bardzo wczesnie zmarnowane. „Zaledwie jedna trzecia część węgla — powiada korespondent *Kuryera warsz.* — była wydobyta, dwie trzecie zaś całej ilości węgla przepadło na zawsze i obecnie już od roku prawie całe to pole jest w ogniu.“ Wynikło to z zastosowania do

eksploatowania systemu rabunkowego (zwane go jeszcze „szląskim“), mniej racjonalnego, niż francuski. Pierwszy z nich polega na zawalaniu miejsc wyeksploatowanych w sposób pierwotny. Przez tworzenie filarów jest znacznie tańszy, ale pociąga za sobą, prócz marnowania zapasów, niebezpieczeństwo robotników i skutkiem kruszenia pokładów na miał — powoduje pożary. Francuski system nie prowadzi za sobą takich następstw, bo polega na zasypywaniu czeluści piaskiem i gliną, ale kosztuje drożej i przeto jest wstrętnym dla kapitału uwiecznionego w górnictwie, na który nie rozciąga się energiczny dozór. Wzmiankowani wyżej panowie uprawiali ten system wbrew zakazowi władzy górniczej — potajemnie. Potajemnie też, gdy skutkiem swych fizycznych właściwości (chciwe pochłanianie gazów itp.) miał węglowy zatlił się, pp. Bongardt z Jeklem, żeby uniemożliwić ogniowi wydostanie się na zewnątrz, zamurowywali przejścia, chodniki i galerie. Trwało to, oddawna niedostrzeżone. Złowrogi śwąd, tułający się w różnych punktach kopalni, po raz pierwszy dał się czuć w lipcu r. b., ale nie zwrócił niczyjej uwagi. Narazie w dniu 23 października r. b. z szybu Ignacego, na tak zwanej „odkrywco“, odległej o wiorstę od Mortimera, ukazał się dym i płomień. Użyto sikawek — ale daremnie; ślup ognia buchał na wysokość piętra. W drugiej odkrywce tej samej nocy z 23 na 24 października ukazały się takież same płomienie, a po upływie doby na przestrzeni 100 sążni kwadratowych w rozmaitych punktach powstało 8 kraterów, ziejących ogniem, dymem i popiołem. Zbudowano 5 tam ochronnych, z których jedna, najnowsza, pod naporem gazów pękła, zadając 3 robotnikom śmierć natychmiastową, a 2 śmiertelne poparzenie. Dotychczasowe straty wynoszą 200,000 rs., a prawie 600 robotników-górników zostaje bez zajęcia, wywóz zaś węgla z Dąbrowy zmalał o 60 wagonów dziennie. Władze górnicze sprawców katastrofy pociągnęły do odpowiedzialności sądowej, ale kto określi rozmiar strat, jakie jeszcze wynikną w niedalekiej przyszłości, skoro zarzewie nie zostało zgazzone, tli i będzie powoli trawić łono pokładów?

Z. Atanazy.

## KRONIKA.

### Stare dzieje.

Biada ludziom talentu i nauki w społeczeństwach małych! Tak było zawsze, tak jest i tak będzie długo jeszcze. Dwudziestu sześciu profesorów uniwersytetu w Kopenhadze zaniósł do rządu prośbę o wyznaczenie stałej zapomogi państwowej Jerzemu Brandesowi, autorowi wielu znakomych dzieł, a między innymi *Głównych prądów literatury XIX w.* I kto by się spodziewał, że ten czytany przez wykształconych ludzi Europy pisarz nie może z zarobków pióra wyżywić rodziny! We Francji lub w Niemczech miałyby Brandes takie dochody, jak Taine lub Hettner, w Danii musi żebrac.

### Rozporządzenie szkolne.

Nowosti donoszą, że komisja przy ministerium oświaty, zajmująca się w dalszym ciągu kwestyą programów, zaprowadzonych w bieżącym roku szkolnym, z uwagi na niektóre trudności praktyczne w wykładzie języków starożytnych, wypowiedziała następującą opinię: Na podstawie nowych programów w gimnazjach klasycznych zaprowadzone zostały dwa rodzaje tłumaczeń piśmiennych: 1) przekłady z języka wykładowego na starożytne i 2) z języków starożytnych na wykładowy. I pierwsze i drugie tłumaczenia, jak objaśnia instrukcja, mogą być tylko klasowe, przyczem główna po-

między nimi różnica polega na tem, że pierwsze mają znaczenie więcej dydaktyczne, służąc za rodzaj sprawdzania wiadomości gramatycznych, ostatnie zaś są same dla siebie środkiem i celem. Na podstawie tych samych planów i programów nie wyznaczono oddzielnego czasu na tłumaczenia pierwszego rodzaju, nauczyciele zaś upoważnieni zostali do korzystania w tym celu z godzin, przeznaczonych na wykład gramatyki. Co się tyczy ćwiczeń drugiego rodzaju, to potrzebny na nie czas winien być wzięty z liczby godzin, przeznaczonych na czytanie autorów. Komisja proponuje, w celu zapewnienia uczniom gruntownej znajomości gramatyki, powiększyć ilość ćwiczeń piśmiennych w klasach V-ej i VI-ej, gdzie, według programu, kurs gramatyki winien być ukończony, nie krępując się czytaniem autorów, ponieważ niedobory w obznajmieniu się z literaturą starożytną mogą być pokryte w dwóch starszych klasach. To też ministerium oświaty zamierza zwrócić uwagę dyrektorów gimnazjów na tę okoliczność, że z chwilą skasowania ćwiczeń jesiennych (*extemporalia*) przy egzaminach dojrzałości, winien być uczyniony szczególnie nacisk na egzaminy przejściowe z języków starożytnych w klasie VI-ej i że niezadawalające rezultaty tych egzaminów powinny mieć wpływ decydujący na promocję.

### Bank włościański.

Według *Gazety polskiej* główny zarząd tej instytucji położył nacisk na najszybsze uregulowanie serwitutów w guberniach Królestwa ze względu na interesy Banku włościańskiego. Obecnie transakcje, dokonywane z pomocą Banku włościańskiego przewidywane są w pewnej ograniczonej liczbie, a to z powodu, iż niewolno traktować o sprzedaży majątku przez Bank włościański przed uregulowaniem serwitutów; tam zaś, gdzie serwituty już zostały uregulowane, właściciele ich nie są skłonni do sprzedaży swoich posiadłości.

**Życie społeczne.** W Łodzi pewne kołko urządziło koncert amatorski na rzecz wpłósów dla uczniów niezamożnych.

— Według urzędowych danych liczba wychodźców z Europy do Brazylii w ciągu sierpnia r. b. doszła do 10,183.

— Ministerium skarbu postanawia utworzyć specjalne posady inspektorów bezpieczeństwa dla fabryk parowych i zakładów przemysłowych. Obowiązkiem ich będzie pilnowanie, ażeby wszystkie czynne mechanizmy i motory były w stanie zupełnego bezpieczeństwa dla robotników i żeby były przewidziane środki ostrożności w celu zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom.

— Zarząd tanich kuchni w Warszawie stara się o otwarcie czwartej w okolicach Leszna, Żelaznej albo Grzybowskiej.

— Ministerium zatwierdziło projekt kasy zaliczkowo-wkładowej dla osób, służących w warszawskim okręgu naukowym.

— W Krakowie — jak donoszą pismom warszawskim — wielkie wrażenie wywołało wejście żandarma do uniwersytetu, gdzie zażądał wydania mu akademika Woszczyńskiego, rzekomo zostającego pod zarzutem dezercji z wojska. Żandarm wypełnił rozkaz tarnowskiej komendy wojskowej. Władze akademickie ostro wystąpiły przeciwko niebyszałemu zachwaleństwu, tem bardziej, że poszukiwany otrzymał pozwolenie odbycia służby po ukończeniu kursów. Pomimo to odwieziono akademika pod eskortą do Tarnowa.

— Towarzystwo akcyjne cukrowni „Częstocice“ założyło dla swych oficyalistów kasę oszczędności i wsparć, której uczestnikami mogą być wszyscy pracownicy, pobierający stałą pensję, z wyjątkiem dyrektora cukrowni.

— W sprawie Skublińskiej zapadł następujący wyrok: Maryanna Skublińska i Agnieszka Zdanowska skazane zostały na pozbawienie praw szczególnych i na więzienie trzyletnie. Emilia Zdanowska, Zuzanna Kubkowska, Ludwik Wiata i Miłęcki ulewinnieni. Paweł Polkowski skazany na pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów i na rotę aresztancką na 2½ lata. Zdziennicki, Kuczyński, Kozłowski, Eret, Szafirstein, Reidman i Przybyłowicz na 3 miesiące wię-



zlenia; Zenowicz na 6 miesięcy, Moliński na nagane służbową. Skublińska i Zdanowskie, uwolnione z pod zarzutu zbrodni zabijania dzieci, skazane zostały na powyższą karę na zasadzie § 1566, przewidującego narażenie na niebezpieczeństwo życia oddanych w opiekę małoletnich.

**Szkoły.** P. Matylda Zawrocka otworzyła na Pradze zakład froebelsko-gimnastyczny.

— *St. Pet. Wied.* piszą, iż niejaki S. ubezpieczył życie swoje na 100,000 rs., które mają być użyte na wsparcia dla studentów wyższych zakładów naukowych, pochodzenia włościańskiego.

— Przy zastosowaniu nowych programów wykładu języków starożytnych okazały się pewne trudności techniczne, które ministerium oświaty zamierza usunąć na mocy porozumienia się z władzami gimnazjalnymi.

— W Tonga (Afryka wschodnia) otwarto pierwszą szkołę z językiem wykładowym niemieckim.

**Sprawy kolejowe.** Pierwszą kolej elektryczną, otwarto niedawno w Anglii z King William Street do Stockwel. Do odbycia podróży na tej linii, 3¼ mil angielskich długości, potrzeba dwanaście minut.

— Dla urzędników i oficyalistów etatowych kolei Brzesko-Chełmskiej i Siedlecko-Małkińskiej utworzono kasę oszczędnościowo-zapomogową, na rzecz której od 1 sierpnia r. b. strącany jest odpowiedni procent. Kapitał w ten sposób zbierany stanowi własność każdego uczestnika.

— Wydano rozporządzenie, aby od osób konwojujących pociągami towarowymi zwłoki ludzkie, albo pilnujących przewożonych zwierząt pobierano opłatę w stosunku ¾ kop. od osoby i wiorsty. Dotąd pobierano opłatę w stosunku ceny biletu 3-jej klasy.

**Przemysł i handel.** Od roku przyszłego wolno będzie każdemu, kto tylko życzy, urządzać faktorie handlowo-przemysłowe na pograniczu Cesarstwa. Pozwolenia wydawać będą władze miejscowe.

— Do zatwierdzenia przedstawiono projekt ustawy wschodnio-ruskiego Towarzystwa handlowego, mającego na celu rozwój stosunków handlowych z Azją, mianowicie, Egiptem, Grecją, tudzież wywóz do tych krajów wyrobów ruskich i przywóz oliwy, owoców, tytoniu itd.

— Bil Mac-Kinleya przyniósł znaczny uszczerbek ruskiemu handlowi wełna. Prócz wysokiego cła prze-

puszczanie przez komory amerykańskie wełny przywzowej utrudniane jest takimi formalnościami, że dostawcy wysyłać jej wcale nie chcą, bojąc się konfiskaty w razie niemiowolnego naruszenia jakiegośkolwiek punktu przepisów celnych.

— Ziemstwo gub. nowogrodzkiej ustanawia nowe posady techników drobnego przemysłu, na które będą powoływani ludzie z wyższym wykształceniem technicznym.

— Skutkiem wybuchu balonu benzyny spaliło się do szczytu fabryka wyrobów gumowych „Przewodnik” w Rydze, zatrudniająca 685 robotników.

— Nowe Towarzystwo akcyjne z kapitałem 1 mil. rs. zawiązuje się w Taszkencie, celem eksploatacji gruntów w stepach Głodowych i pow. dżezakskim kraju turkiestańskiego.

— Dla podniesienia hodowli owiec w gub. południowo-wschodnich urządzone będą jarmarki na wełnę w Tambowie i Penzie, dla południowych — komitety jarmarczne w Charkowie, Połtawie, Jekaterynosławiu, Odesie i Warszawie. Podniesiono również sprawę zakazu sprzedaży owiec włościańskich za nieopłacenie podatku; nadto przedsięwzięte będą środki, zmierzające do powiększenia wywozu żywych owiec za granicę.

— Ministerium dóbr państwa postanowiło wprowadzić w Besarabii obowiązkowe ubezpieczenia wzajemne winnic od klęski fiołkowskiej.

— Handel mąką w środkowych guberniach Cesarstwa od dwóch lat przeżywa stagnację. Większość firm znacznie zmniejszyła obroty.

**Wystawy.** W Londynie angielska marynarka wojenna urządza w r. p. wielką wystawę.

— W Berlinie otwarto 7-mą niemiecką wystawę gołębi pocztowych.

— W Lipsku odbyła się w tych dniach wielka międzynarodowa wystawa kwiatów.

**Wypadki.** W całej Anglii i na sąsiednich morzach szaleją orkany. Mnóstwo ludzi zginęło skutkiem rozbięcia okrętów.

— Z powodu ostatniej powodzi w Chinach cztery miliony ludzi utraciło domy i wszelki dobytek.

**Komunikacje.** Między Wiedniem a Pragą powstaje trzecia linia telefoniczna.

— Rząd austriacki wprowadza stałą komunikację za pośrednictwem parowców między Fiume a Indjami,

— W Kroczyli otwarto nową kolej z Czakaturu do Zagrzebia.

**Zdrowie publiczne.** W tych dniach otwarto w Warszawie nowy zakład leczniczy ginekologiczny dla kobiet, założony przez kilku lekarzy specjalistów. Przy zakładzie urządzone ambulatoryum dla przychodzących.

— Rozszerzenie szpitala Ujazdowskiego kosztować będzie przeszło milion rubli. Łóżek ogółem będzie 2,000, liczba ordynatorów powiększy się o 12-tu.

**Konkursy.** Uniwersytet moskiewski ogłasza konkurs na napisanie podręcznika historii Rosyi. Nagroda rs. 1,000. „Główna uwaga powinna być zwrócona na ludy narodowości ruskiej w kraju północno-zachodnim, na usiłowanie zabezpieczenia jej religii prawosławnej od wpływu polsko-katolickiego, tudzież języka i rdennych zwyczajów. Wreszcie historyk obowiązany jest dowiedzieć, że kraj północno-zachodni nigdy nie miał nic wspólnego z Polską i z jej katolickim wyznaniem.”

**Badania naukowe.** Na badania geologiczne, które mają posłużyć za podstawę do sporządzenia wielkiej mapy geologicznej Rosyi europejskiej, wydawana będzie od r. p. kwota rs. 3,000 rocznie.

**Bibliografia.** L. Kondratowicz, *Wybór poezji*, tom II. Warszawa (wydanie nowe na rzecz wdowy i sterot autora).

**Zmarli.** Kazimierz Kratzer, w Warszawie; kompozytor muzyczny.

— Piotr Czychaczew, we Florencji; znany podróżnik po Azji środkowej.

— Karol Verlat, belgijski malarz historyczny, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Antwerpii.

**Sprostowanie.** W artykule „Zdała” w N-rze 45 wkradły się następujące omyłki: wiersz 13 (str. 538) zamiast: „przez to niepomiernie a uciskających, winno być: a przez to, w. 17: zamiast do zaciągnięcia, — zasnęgnięcia; w. 36: zamiast podaly — padały; str. 539, szp. pierwsza w. 46: zamiast zasadność — zaradność samorządu; szp. druga, w. 40: zamiast „równie równowagę traci” — wprost równowagę traci; w. 90: zamiast „według zatwierdzonego... ustawy” — „zatwierdzonej... ustawy.”

## O G Ł O S Z E N I A.

### P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący  
w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasińskiego  
*Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.*

Nakładem księgarni G. Centnerszvera,  
Marszałkowska 147, wyszły z druku:

**Kalendarz Księgarsko - Literacki**  
na rok 1891 — kop. 20.

**Mazanowski, Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego** — k. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Nowelle A. L. Kiellanda**

Paryż, 1890. Cena kop. 15.

Skład główny w księgarni G. Centnerszvera.

### CZYTELNIĄ dla KOBIEŹ

9, Warecka 9,

Stale zaopatrywana w najnowsze dzieła naukowe, oraz wyborowe belletrystyczne w pięciu językach.

Pokój osobny dla czytania pism peryodycznych *wyłącznie dla kobiet*. Pisma krajowe i zagraniczne, naukowe i literackie.

**Abonament miesięczny** we wszystkich językach, z prawem korzystania z pism: *dwóch książek* k. 40, *trzech* kop. 50, *czterech* kop. 60, *pięciu* kop. 70. Katalogi wkrótce drukowane będą.

### Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczy niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Spółeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.

*Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oparciu) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Spółeczeństwo pierwotne**, czyli badania kolej ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bakowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oparciu) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Pod-danka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug. Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszbard. **Byron w urywkach** — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oparciu), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historia XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. **Antropologia z ilustracjami**, w przekładzie A. Bakowskiej — rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.

### Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.**, tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielewski Piotr dr. **Autorki polskie wieku XIX**, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. **System socjologii** — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). **Szkice i obrazy**, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Kramsztyk Stanisław. **O postaci i ciężarze ziemi**, str. 93 — k. 60.

Smoleński Władysław. **Drobna szlachta w Królestwie Polskim**, studium etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

A. Okolski. **Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P.** — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

**Biuro i ekspedycja Spółki Nakładowej:**  
Warszawa, Marszałkowska, nr. 95.